London, 18th August, 1957
Registered at the G.P.O. as a newspaper

Cena 2s. 6d. | Dziś 6 stron

Rok XII nr 33 (594)

LONDYN 18 sierpnia 1957

WIADOMOŚCI

TYGODNIK

Redakcja i administracja: 67 Great Russell St., London, W.C.1, tel. CHA 3644. — Prenumerata kwartalna 20s., w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie 3 dolary, w Belgii 150 fr. belg., we Francji 980 fr., w Niemczech 13 DM., w Szwajcarii 14 fr. szw., we Włoszech 1750 lirów, w innych krajach równowartość 3 dolarów. Zmiana adresu 1s. Czeki należy wystawiać na „Wiadomości". Ogłoszenia: administracja „Wiadomości". Cena za 1 cal × 1 szpalta £1.0.0.

ZBIGNIEW ZANIEWICKI

PISMA POLITYCZNE NORWIDA

Sporo było w dziejach różnych literatur odkryć talentów długo nie uznawanych, były nawet odkrycia pośmiertne twórców zapomnianych za życia, takiego jednak odkrycia, jakim było „wskrzeszenie z niepamięci" (termin Żeromskiego) Norwida przez Miriama nie było i zapewne nie będzie.

Dlaczego? — Bo żeby to było możliwe, musiałoby się na to złożyć ponownie zbyt wiele i zbyt niezwykłych czynników. Nie do pomyślenia jest np. „zagadnienie Norwida" w dziejach wolnych narodów, gdzie wielki, prekursorski pisarz znajdzie zawsze grono entuzjastów i nie musi pod koniec żywota chować beznadziejnie do kuferka (Norwid w przytułku nie miał nawet porządnej szuflady) coraz to wspanialszych utworów. Ale i w niewolnej Polsce samorodny talent młodego Norwida zwrócił na siebie uwagę i wywołał nawet odruchy młodzieńczego zapału (oda Antoniego Czajkowskiego: „Orle Norwidzie..."). Trzeba więc było aż „Wielkiej" — i w dokonaniach i w błędach — emigracji, bo tylko emigracja mogła tak bez reszty pochłonąć i przemilczeć twórcę wielkiej miary. Zresztą i na emigracji byłby Norwid więcej słuchany gdyby nie trzy dodatkowe okoliczności.

Przede wszystkim Norwid (urodzony w r. 1821) przybył „za późno" na emigrację, gdyż w 11 lat po powstaniu, i emigracja. zgorzkniała długą rozłąką z ojczyzną i beznadzieją, nieufnie patrzeć musiała na młodego przybysza pragnącego ją pouczać. Było to obozowisko ludzi zawiedzionych, których większość znajdowała się w znacznie trudniejszych warunkach niż my dzisiaj. Bo i czasy były bardziej rozpaczliwe (rozdarcie Polski na trzy części) i pogarda dla pracy fizycznej niewiarogodna. Nic więc dziwnego że rozbitkowie z narodowego okrętu — otoczeni obcym żywiołem — ratowali się duchowo jak mogli: przeważnie ucieczką w świat mistycyzmu (towianizm). I oto młody student-poeta przywozi im z kraju... entuzjazm dla sztuki (jeszcze Klaczko twierdził iż Polacy żadnej sztuki poza poezją i muzyką mieć nie mogą), przywozi tyle nowych odczuwań świata, tyle nowych spojrzeń na dzieje i tak niezłomną wiarę w moc Opatrzności i Kościoła że musi dojść do starcia — zaiste Don Kichotowego — między nim a wiatrakiem emigracji.

Drugim, dodatkowym czynnikiem klęski Norwida było to że jego gwiazda wschodziła właśnie w pobliżu słonecznej aureoli Mickiewicza, którego Norwid jako poetę i człowieka cenił wysoko („Tysiącznik litewskiego ducha i Ogromnik"), ale któremu musiał zasadniczo przeczyć w imię swych głębokich przekonań i prawd. W liście do gen. Skrzyneckiego pisze Norwid o przeciwstawieniu się wielkiemu poecie w Rzymie: „Gdy [Mickiewicz] porwał się z miejsca i nareszcie Towiańskiego książkę wziął do ręki — byłem przymuszony mu zaprzeczyć. — — Nie umiem powiedzieć jak mnie to wiele kosztowało. Widzieć się przymuszonym tak wielkiej sławie narodowej i siwym włosom — prawdy gorzkie słowa powiedzieć".

Dlatego odczuwa Norwid cały tragizm słowa „za późno", dlatego skarży się na nieustanny cień wielkiego lauru romantycznego nad głową („Było w Ojczyźnie laurowo i ciemno"...), dlatego przestrzega młodych poetów przed „wybujałością" wieszczów.

Ale nie tylko zbyt późne przybycie do kostniejącej już emigracji i nie tylko rozkwitanie przymusowe w zaczarowanym cieniu trzech wieszczów było powodem że dopiero w 20 lat po śmierci Norwida zaczął duch jego obcować w dziejach. Nie tylko. Ostatecznym powodem było właśnie to że się tak zasadniczo i tak odważnie wiarom emigracji przeciwstawił. Bo przecież romantyczna trójca siłą swego geniuszu narzuciła już emigracji smak estetyczny i własną, mistyczną wizję rzeczywistości. Walka z tym cieniem, budzenie „księżniczki zaklętej" ze snów romantycznych była syzyfowym trudem Norwida, który najwyraźniej przewidywał straszliwą tragedię 63-go roku (patrz „Quidam"). Norwid oczekiwał starcia duchowego, starto go więc aby nie zakłócał miłej złudy że Polska jest wybranym narodem (jest to — mówi poeta — nietwórcze „powtarzanie rzeczy zrobionych przed nią w innych położeniach historycznych") i że jej wyzwolenie dokona się samo, cudem, jak to głosiły proroctwa wieszczów.

Pamiętajmy (a raczej — wiedzmy, bo o tym przeważnie nie wiemy) że zarówno Mickiewicz, proklamując wyzwolenie przez bohatera „40 i 4", jak Krasiński, wołający z patosem: „Z polską szlachtą — polski lud", jak Słowacki — wszyscy oni wierzyli i zapewniali że wyzwolenie nastąpi lada chwila, na pewno jeszcze za ich życia. Dlatego przecież Mickiewicz przerwał twórczość poetycką i działał politycznie na rzecz wolności, wierząc iż w wolnej Polsce dokończy przerwanego śpiewu wajdeloty; dlatego Słowacki, ciężko chory, śpieszy do Poznania w r. 1848 by na własne oczy oglądać Polskę wolną, „w Styksowym wykąpaną mule"; o tę pewność szybkiego świtu wolności („Przedświt") poróżnił się z Norwidem Irydion-Krasiński.

Żarliwą wiarę w proroctwa (zawsze pomyślne oczywiście, bo dla pokrzepienia zwątpiałych serc) pragnął Norwid przemienić ni mniej ni więcej, tylko w twórczy, zorganizowany wysiłek na rzecz Polski. „Nie żywić nadziei kosztem Prawdy!" — zaklinał.

„Bo powiadam wam, że **kmiecie** my wszyscy tu jesteśmy i od uczestnictwa w związku **pracy** nikomu wywinąć się nie wolno pod karami wielkimi, które stąd na społeczeństwo upadają". „Zmartwychwstać jest bolesnym trudem — **pracą** człowieka z Bożym dokonaniem — cudem".

Zasłuchanych w echa Olszynki Grochowskiej, zaczarowanych poezją romantyczną (niby w „Weselu" Wyspiańskiego) rodaków, poucza że Polska, aby powstać, musi pierw „wojnę Prawdy wygrać w sobie", „musi z ducha, na nowo się odrodzić". Żąda więc od Polaków dopełnień moralnych, odrzucenia bierności i narodowej pychy, żąda gotowości do twórczych dokonań i przeobrażeń.



CYPRIAN NORWID
autoportret (1880)

Gdy dokoła wołano: „Zwyciężyć albo zginąć!", „Zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem, a choćby mimo Boga!" on się temu gwałtownie sprzeciwia. Nie, mieczem samym nie dokonamy wyzwolenia. W najpotężniejszych bodaj na jakie język polski zdobyć się może akordach piętnuje Norwid „niedojrzałe, a więc fałszywe po-



MIRIAM
(ZENON PRZESMYCKI)
z czasów odkrycia Norwida

jęcia", „pojęcia **sołdackie**" o wyzwoleniu narodu:

Gdzież? Kiedy? Czyje? ostały się [miecze
Bez słów, bez myśli, bez prawd i [ich części?
Jeśli nie miały pęknąć w rękojeści
Jak kruchy kielich pęka przed [spełnieniem,
Upadły dwakroć: sobą i — sumieniem!

Najostrzej przeciwstawiał się Norwid nadmiernemu szafowaniu krwią młodzieży:

Każdy śpieszy na śmierć. Żywota [któryż szukać zdolny?
Za wolność każdy umrzeć chce z [ochotą,
Jak gdyby cmentarz tylko zwał [się wolny.

Nie może zbawić Polski „hekatomba dla ludzkości przez śmierć i niebyt lecz przez byt", a nasienie zemsty „nie może dać drzewa z korzeniami, lecz... wykorzenienie i perzynę". Toteż, gdy pewien „patriota-krwi" (Karol Ruprecht, pełnomocnik Rządu Narodowego w Paryżu) starał się przekonać poetę że „krew zbawi Polskę", odpowiedział mu w liście: „Przyszłość zdobywają te 3 rzeczy: duch, cierpliwość i dopełnienie — ale wcale nie krew: to jest bajka".

Z perspektywy stu lat widzimy że Norwid, potępiający nadużywanie proroctw i głoszący potrzebę apostolstwa, przewidział przyszłość trafniej niż „prorocy", gdy stwierdził (w r. 1848) iż „życie narodu tak jest nierozdzielnym od życia społeczeństwa, że zaślepione nawet rządy przekonają się same dlaczego zatamowanie tego życia i **czterech pokoleń nie wytrzyma.** — — Są to prawa mocniejsze od wszelkich **represji** i tu miejsce powtórzyć: Galilaee vicisti!"

Cztery pokolenia? — Bagatela! I któż by takiego proroka usłuchał, gdy oto więksi od niego głoszą że grób „Chrystusa Narodów" już pęka... Oczywiście, potępiono „nie-patriotyczne" stanowisko poety i aby wpływ jego unieszkodliwić okrzyczano go „niezrozumiałym" i „ciemnym". Na próżno Norwid ze skruchą przekładał: „Tylko w powtarzaniach rzeczy cudzych (to jest w robocie nic nie wartej) nie ma żadnej wątpliwości ani błędu". Klątwa „niezrozumiałości" była rzucona i trwa nawet po śmierci poety, gdy on jest po prostu „trudny" i „głęboki". Toteż nikt już nie słuchał poety, gdy ten zaklinał w r. 1861: „Nie ofiary brak narodowi, który już nie ma co ofiarować — ale brak MIŁOSIERDZIA. A miłosierdzie rozwinąć się nie może wśród tak niemiłosiernych dogmatów wiary narodowej. U nas — **poświęcenie** to jest dopiero, ażeby umieć **stracić wszystko dla sprawy",** nie „ażeby wszystko **zyskać** dla sprawy. I dlatego jest popiół". Zatykano już uszy na wszystko co mówił. Poeta to rozumiał i wołał w rozpaczy do przyjaciela (list z t.r. do Bohdana Zaleskiego): „Nie — nie — niech sobie kto chce mówi — nie! — ja wiem, że lichy i podły przed PANEM jestem, ale przyszłość pokaże, czy mylę się w tym o Ojczyźnie mojej słowie... biada!".

Manifestacja patriotyczna w Warszawie 8 kwietnia 1861 — tak podobna do wypadków poznańskich z ub.r. — rozentuzjazmowała Norwida (wiersz „Żydowie polscy"), ale późniejsza beznadziejna walka powstańcza, której nie wtórowała twórcza inicjatywa międzynarodowa, była w jego mniemaniu nieporozumieniem z historią. Wzywał on by „równocześnie do powstania mieczem" — „powstać siłą myśli". Liczne memoriały Norwida, nawołujące do wystąpień godnych chwili dziejowej, pozostawały w ogóle bez odpowiedzi.

Nie był Norwid przeciwny walce i nieraz mówi o konieczności „zniecierpliwienia się" w odpowiedniej chwili. („Cierpieć, nie jest — gnuśnieć, ale w znanym kierunku, ze świadomością rzeczy walczyć"). „Przelew krwi" powinien być jednak poprzedzony „przelewem potu". Tylko „twórczy znój, właśnie z tego duży że codzienny", tylko „konań wielki psalm z... wykonaniami" pozwolą Polsce otrząsnąć z siebie niewolę jak poczwarka odrzuca łuskę gdy się przeobraża w motyla.

Dlatego Norwid nie pochwaliłby bezprzykładnej rzezi jaką było powstanie r. 1944 (tragiczne „40 i 4"), pomimo podziwu jakim by go natchnęło bohaterstwo Warszawy. (Piszący te słowa, powstaniec i śląski i warszawski, nie podaje tu swego osądu ale poglądy Norwida).

Wróćmy jednak do sprawy odkrycia przez Miriama wielkiego kontynentu, jakim była twórczość nie znanego mu poety. Utrata niepodległości przez Polskę, emigracja, młodość Norwida w porównaniu do większości ówczesnych dipisów, zacienienie Norwida przez wieszczów, wreszcie jego bojowe przeciwstawienie się wiarom i złudom romantyzmu — oto kolejne powody odrzucenia i pogrzebania poety za życia. Ale powodem wielkiego odnalezienia i twórczego włączenia Norwida w nurt polskiej kultury było to że trud ten wziął na siebie właśnie Miriam. Nie szperacz-polonista, nie goniący za sensacją dziennikarz (czyżby oni zdołali zrozumieć wagę i odczuć wielkość „ciemnego" poety?) tylko Miriam: poeta, który odrzucił własną muzę by życie poświęcić swemu mistrzowi. Jedynym wynagrodzeniem Miriama za lata prac, za wiele przykrości doznanych od społeczeństwa, było wzruszenie estetyczne jakie zawdzięczał Norwidowi.

Tak to Norwid spotkał pośmiertnie „wnuka" o którym marzył za życia, wnuka, który „złożył duchem" jego utwory niby odłamy rzeźby rozbitej przez barbarzyńców. Obok czterech tomów wydania luksusowego dzieł Norwida, przerwanego w r. 1914, obok wspaniałej antologii (1933) oraz „Ineditów" z t.r., począł Miriam wydawać w r. 1937 „Pisma wszystkie" Norwida, zakrojone na 9 tomów. Miał wówczas 76 lat. Zgodził się zacząć wydawnictwo od wydania 846 listów Norwida pisanych do 94 adresatów. Zebranie ogromnej ich większości, to prawdziwa odyseja, a raczej — miriameja godna osobnej rozprawy. Jeśli pomyśleć że oryginały bezcennych listów zawartych w dwóch tomach (przeszło 1.000 stron petitem!), w znacznej mierze spłonęły w czasie wojny, musimy mu być podwójnie wdzięczni.

Zebrać tyle rozpierzchłych po świecie listów mało znanego początkowo poety i wydać je bez pomocy rządu, akademii, ba! — bez pomocy wydawcy, i to mając blisko 80 lat, to **tylko** Miriam potrafił. Moja pomoc ograniczała się do spraw technicznych ze sprzedażą włącznie i do ciągłego ożywiania słabnących nieraz sił czy zapału Miriama. Opracowałem również skorowidz osób wymienionych w listach (na końcu t. II).

Do wojny wyszło z druku 7 tomów „Pism wszystkich", ostatni z nich niestety spłonął całkowicie w drukarni na Powiślu (1944). Był to tom zawierający pisma polityczne i filozoficzne Norwida. Z ocalałego egzemplarza korektorskiego podjęliśmy reedycję tego tomu w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy. Porusza w nim Norwid wiele zagadnień paląco aktualnych, jak rola emigracji i stosunek jej do kraju, zagadnienie: rasa-naród-ludzkość (dziś, zda się, aktualniejsze niż kiedykolwiek), sprawę walki o niepodległość, wojen, daje wzruszającą naukę „O modlitwie" i t.d. Tom otwiera „przedmowa pośmiertna" Miriama, odtworzona z moich wspomnień i zapisków.

Zawarte w tym tomie poglądy Norwida wpłyną niewątpliwie na krystalizującą się w Polsce i na emigracji myśl polityczną w przełomowej chwili. Norwid przemawia do nas jak doświadczony towarzysz wygnańczej niedoli, ufny w ostateczne zwycięstwo Prawdy i Wolności.

Zbigniew Zaniewicki.

ROSA BAILLY

przełożył TYMON TERLECKI

CMENTARZE LWOWA

CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI

Pod rozłożystymi drzewami i polami oddanymi na własność ptakom, wzdłuż krętych alej, schodzących w doliny i wstępujących na wzgórza, groby trzymają straż nad pokoleniami, które żyły we Lwowie, które ożywiały go swoim ruchliwym istnieniem i zdobiły swoją radością, które kochały, upiększały, broniły i zachowywały to miasto dla Polski.

Każda rodzina rzymsko-katolicka i grecko-katolicka Lwowa ma na Łyczakowie swój grobowiec: czyta się napisy i z historii mieszkańców odtwarza historię miasta. Jeśli towarzysze broni Sobieskiego, pogrzebani w kościelnych kryptach pod nagrobkami z czarnego marmuru, mogą się pochwalić udziałem w wyprawach, które uskrzydliły się pieśnią, i w bitwach, które ocaliły Europę i Azję, to pospolitakom przypadła w udziale palma męczeńska: tego wywieziono, ów padł od kuli plutonu egzekucyjnego, jeszcze inny dał głowę katowi który wzbogacił się stu florenami wypłaconymi mu w r. 1841 przez Miłościwy Majestat Apostolski, Cesarza Austrii.

Kiedy pierwszy raz poszłam na cmentarz łyczakowski, moim przewodnikiem był urodziwy Polak o obejściu wytwornym i niedbałym, którego iskrzące się błękitne oczy, złocista czupryna i zmysłowe usta zdawały się przeznaczać do radości życia. Wrócił z dłuższego pobytu w Paryżu, prowadził tam poszukiwania w Instytucie Pasteura. Mimochodem pokazał mi grób swojej rodziny i w ten sposób dowiedziałam się że pochodzi z linii rycerskiej, której los nie oszczędził żadnej męki: ani nie kończących się dni wygnania, ani rozpaczy na mroźnych ziemiach Sybiru, ani potworności katorgi, ani nagłej śmierci. On sam trzy lata temu brał udział w obronie Lwowa, ale nie wspomniał o tym ani słowem.

Na cmentarzu wojskowym, który rozciąga się w głębi, nie ma ani cienistych drzew ani kwiatów, jest tylko ziemia w heroicznym obnażeniu wyciągająca ku niebu jak ostrza pałaszy — krzyże z czarnego drzewa, wyrównane w ciasne szeregi. Na krzyżach tego wojskowego cmentarza można odcyfrować imiona kobiece, imiona Zoś i Halin albo też imiona młodzianków stowarzyszone z liczbami, które rozdzierają serce: 16 lat, 14 lat... Ludność chwyciwszy w r. 1919 za broń rozstrzygnęła że chce pozostać polska. Umarli za tę sprawę gimnazjaści, dziewczęta, matki, starcy, cywile przedzierzgnięci w żołnierzy. Lwów zwyciężył, napastnicy pierzchli.

Miasto jest tuż obok, mrowiące się, radosne, pełne fantazji i nonszalancji, zrywów, wielkich rojeń i szlachetnych urzeczywistnień. Ten cmentarz nie wydaje się smutny: ci co na nim leżą są szczęśliwi z odniesionego zwycięstwa. Nie ma wątpliwości że ciągle zachwyca ich uroda miasta, że ciągle żyją jego życiem i nie myślą o swojej ofierze więcej niż mój uśmiechnięty cicerone. Zwyciężyli nie tylko wroga ale samą śmierć.

W r. 1938 odnajduję cmentarz wojskowy w blasku parady. Miasto postanowiło uczcić swoich obrońców. Zrobiło to z surową i majestatyczną szlachetnością — tak bardzo polską. Monumentalna kolumnada otacza teren: wokół przegrupowane mogiłki wszystkie patrzą w oczy wodza. Noszą mundury: równe wzgórki, jednakie krzyże zaopatrzone w takie same tabliczki z brązu. Dopiero odcyfrowując te tabliczki przybysz zdaje sobie sprawę z rozmaitości którą zespoliła wielka miłość dla Polski: leżą tutaj nie tylko Polacy, ale Ormianie, Ukraińcy, i takie same groby, tylko pozbawione krzyża, znajdują się również na cmentarzach żydowskich.

Oto ci wojownicy z przypadku, ci bohaterowie tak mało militarystyczni, którzy walczyli bronią jaka nawinęła się pod rękę i których mundur ograniczał się do rogatywki albo zgoła do opaski na rękawie raz doskonale skrojonego ubrania, a raz nędznego łachmana — oto wszyscy oni stanęli w ostatecznym i już niezmiennym ordynku.

W głębi terenu, wsparta na pochyłości która zstępuje z cmentarza cywilnego, roztacza się monumentalna kompozycja. Osłania ona arkadami galerię tablic nagrobnych. Wieńczy ją kaplica Matki Boskiej Pokoju.

Z obu boków katakumby uzupełniają pomniki poświęcone sprzymierzonym: na lewo lotnikom amerykańskim, na prawo żołnierzom francuskim poległym w r. 1919/1920 w Polsce wschodniej. Rodziny, zabrały ich zwłoki, pozostało tutaj tylko ciało jednego szeregowca, i ten ubogi chłop francuski ma sam dla siebie, w pobliżu wspaniałego miasta, pomnik z kamienia który go przedstawia wspartego na karabinie, pełnego energii i poświęcenia. Jest to brat tych lwowian których zbity tłum wyciągający krzyże jak ramiona w przyjaznym pozdrowieniu tłoczy się u jego stóp.

Pomnik wyznaczający Francji miejsce na tym polu chwały powstał z inicjatywy pani Mazanowskiej, której dwaj synowie padli w obronie miasta, i dzięki wspaniałomyślności jego mieszkańców.

OPUSZCZONY CMENTARZ

Lwów się rozszerza. Na otaczających go wzniesieniach wyrastają wille i czynszowe kamienice. To wśród wielu innych skazuje na zagładę czarujące miejsce, przystań samotności, wylot ku dalekim widnokręgom — stary cmentarz stryjski, na którym w r. 1918 młodzi lwowianie i Ukraińcy walczyli wśród grobów.

Rozrzucone nagrobki kamienne zarastały kępami trawy. Pod malwami i stokrotkami można było rozpoznać ich szare, wydłużone kształty z jeszcze widocznymi ale już nieczytelnymi napisami. Krowa przechodziła z godnością. Brzoza lekko kołysała gałęziami.

Z tego zamknięcia ciszy patrzyło się z góry na Lwów najeżony wieżami i wzdęty kopułami których zgiełk nie docierał do granic cmentarza. Stąd miasto wydawało się miastem z baśni uśpionym przez czarnoksiężnika. Wokół roztaczał się widnokrąg wypełniony tysiącem szczegółów, rozpływających się w niebieskawej mgle. Wznosił się on w górę, stawał się coraz czystszy i wreszcie rozpinał się w srebrzyste sklepienie nieba.

Miało się tam poczucie zawieszenia ponad historią. Jej ostatni szczątek w tej wiejskiej ciszy stanowił kamień grobowy na którym pieniła się chmura kwiatów. Wszystko razem wyglądało jak winieta Huberta Roberta która przedstawia pasterzy siedzących na ogromnych trzonach obalonych kolumn. Jak replika obrazu Poussina „Et ego in Arcadia"...

Ale nie ma już Arkadii, i stary cmentarz, gdzie obok krowy szczypiącej kwiaty poeta przeżuwał obrazy, przecięła droga, którą w pełnym biegu pędzą samochody i ciężarówki.

CMENTARZ ŻYDOWSKI

Cmentarz w dzielnicy żydowskiej uchodzi za stary i poetyczny. Szukając bramy trzeba minąć jego murowane ogrodzenie. W ten sposób dochodzi się do budynku zdobnego w białe, czarne i czerwone pasy; przypomina on orientalną łaźnię. Ten „szpital izraelski dla chorób wenerycznych" — bo tak brzmi jego nazwa — jest być może dostawcą zaopatrującym pobliski cmentarz, ale nie grzeszy brakiem taktu i nie ma wspólnej z nim bramy.

Zaczynam więc wędrówkę od nowa i okrążam cmentarz obchodząc mur w kierunku odwrotnym. Nigdzie nie ma wejścia. Nie widać nic oprócz palisad które zdają się zagradzać otwory czy wyrwy. Są one głucho zabite gwoździami a nawet zamknięte na kłódki. Jakiś przechodzień informuje mnie skwapliwie:

— Cmentarz jest naprzeciwko, na szczycie wzgórza.

Nie chce ustąpić mimo że rozwijam przed nim plan miasta. Ale po co przedłużać spór? Dziękuję, idę dalej i za pierwszym zakrętem natykam się na jego współwyznawczynię. Jej małe oczka przyglądają mi się spod rudej i przekrzywionej na bok peruki. Zaczepia mnie i kiedy dowiaduje się że jestem Francuzką, katoliczką i turystką, towarzyszy mi z największą uprzejmością. Wracamy do szpitala nie odkrywszy żadnego wejścia po drodze. Żebraczka oparta o mur spożywa posiłek z małych garnuszków. Między dwiema kobietami zawiązuje się dyskusja, z której wreszcie wynika że stary cmentarz jest nie tylko zamknięty ale skazany na zagładę. Nikomu nie wolno tam wchodzić. Zresztą nie ma bram. Aby je odnaleźć trzeba by znieść palisady.

Do widzenia zatem czcigodne groby i jeszcze starsze drzewa. Tyle cienia, tajemnicy, skupienia nie otacza nikogo zielonym kręgiem czaru.

Pójdźmy na nowy cmentarz. Aby dotrzeć do niego, trzeba przejść przez park wznoszący się piętrami na pochyłości wzgórza. Wokół pomnika ku czci powstańców polskich spotyka się żydowskie dzieci w towarzystwie matek.

Później trzeba się wspinać stromymi dróżkami prowadzącymi przez wygony których piasek wydaje się rozświetlony słońcem. Jakaś gosposia z torbą na ramieniu pnie się wraz ze mną sławiąc bogactwo nowego cmentarza:

— Wszystkie groby — powiada — są z kosztownego kamienia. Ach, Żydzi to bogacze.

Mijają nas żołnierze w mundurach z żółtego płótna. Śpiewają. Nie mają nic prócz swojej radosnej młodości.

Przestrzeń wokół nas rozszerza się za każdym krokiem, wzbogaca się czarnymi plamami lasów, jasnozłotymi zboczami z których dobywa się piasek, nowymi perspektywami dolin które przecinają drogi i rzeki. W dole wynurza się przedmieście całkiem nowe jeśli sądzić po jaskrawym kolorze dachów. Płynie jak koralowy strumień wśród zadrzewionych brzegów.

Obracam się wstecz: miasto leży przede mną w całej swojej wspaniałości. W półkolu zieleniejących się wzgórz zbiegowisko domów, zaciągnięte dymem i mgłą, tworzy tło jednostajne i ciemne. Tam i sam skrzą się szyby muśnięte promieniami słońca. Przez szczelinę w zasłonie oparu widać amfiladę jednej ulicy lub też bryłę budynków. Ze środka tego tła wystrzelają wspaniałe łodygi: wieża katedry wołoskiej, dzwonnice jezuitów, dzwonnica bernardynów, tak okrzyczany „komin" ratusza który stąd wydaje się wytworną kampanilą. Między tymi smukłościami wzdymają się jak pąki pełne soku kopuła dominikanów, katedry ormiańskiej i tyle innych, których nie umiem nazwać po imieniu.

Wspomnienia długiej i bogatej historii kłębią się w sercu miasta.

Perspektywa się rozszerza, i nowoczesne, żywe miasto rośnie bez ustanku. Jego pomniki, to znowu kościoły jak św. Elżbiety z ostrymi iglicami ale także dworce, składy, gazownie.

To wszystko co w przeszłości i teraźniejszości zawiera tyle rywalizacji, walk, ruin, uporu, bohaterstwa żołnierskiego i cywilnego — oglądane z góry jest tylko harmonijnym obrazem sławiącym płodne i niewyczerpane życie.

Zwróćmy się teraz ku szczątkom, które jego przypływ wyrzucił na przedmieścia, tym niezliczonym istnieniom z których każde jest tylko kamykiem żwiru na granicy przypływu, kamieniem na cmentarzu.

Nie tak łatwo dostać się na cmentarz izraelicki.

Tego miejsca spoczynku pilnuje stu cerberów, którym trzeba rzucić miodowe ciastko: towarzystwa dobroczynne umieściły swoich przedstawicieli za stołami, obwiesiły je godłami i napisami, spiętrzyły na nich skarbony. Ledwie miniesz próg przedsionka a już pobożni natręci otaczają cię brzęczeniem i czarnymi chałatami. Jest ich zbyt wielu. Wybieram stoisko sierocińca i składam ofiarę. Ale są różne sierocińce, jest wielu delegatów: naciskają na mnie, namawiają do wyboru.

— Niech pani podzieli!

Ale nie ma tyle drobnych we wszystkich skarbonach razem wziętych, i jeden z rabinów biegnie by je zdobyć. Kiedy stwierdziłam że każde stowarzyszenie otrzymało swój dział — odzyskuję wolność.

Przy wyjściu żebracy będą szli moim śladem, będą się napierali, uczepią się mnie jak letnie muchy przez cały czas czekania na tramwaj, będą mnie nękali wpierw skargami, później pochlebstwem, wreszcie nawet żartem. Czterech, sześciu naraz będzie mnie ciągnęło za rękaw.

Świątynia, która u wejścia do cmentarza przyjmuje zwiedzających, ma formę i chłód ogromnej cysterny. Jest surowo prosta, cztery przeciwległe ściany spośród ośmiu są przebite drzwiami. Przed jedną z nich baldachim osłania wzniesienie. W tym wielkim budynku nie ma nic, absolutnie nic innego. Jedyny zbytek stanowią „panneaux" z szarawego drzewa które okrywają mury i robią żałobne wrażenie, doskonale zestrojone z tym miejscem. Ale są one podzielone na kwadraty, i wzruszenie religijne, które płynęłoby z jednolitej powierzchni albo z linii pionowych, ustępuje miejsca wzruszeniu innego rzędu, którego można by doznawać w poczekalni kantoru.

Kopuła oświetla świątynię kompozycją ze szkieł w kolorach surowej niebieskości, żrącej zieleni, krzykliwej czerwieni i bezlitosnej żółci. Są to bez wątpienia kolory liturgiczne.

Wystarczy nie patrzeć i zbytnio nie myśleć o rozplanowaniu ścian, wtedy świątynia przez swoją nagość wyraża wzruszającą wielkość. Kozły przed wzniesieniem podtrzymują surowy kształt trumny przykrytej czarnym suknem. Ta jedyna i milcząca obecność w nagiej świątyni nabiera niezwykłej wagi i wypełnia przestrzeń majestatem śmierci.

Zbliża się istota, która cała jest z nędzy i brudu. Zmierzwiona i siwa broda wygląda na siedlisko robactwa; zresztą jej właściciel raz po raz ją drapie. Odzienie bez barwy spada z niego w strzępach. Nie bez zdziwienia stwierdzam, że pełni on obowiązki kościelnego. Przynosi dwie świece w żelaznych imadłach w takim samym surowym stylu co świątynia. Ustawia je przed wzniesieniem po lewej i prawej stronie katafalku i zapala. Ich żółte chwiejne płomyki zdają się prowadzić powolną, głęboką i melancholijną rozmowę z tym który spoczywa pod żałobną oponą. Doznaję uczucia że jestem poza światem ziemskim. Blask światów nieskończenie dalekich zdaje się drgać w dymiącym płomieniu świec.

Życie powoli wkracza do świątyni wraz z grupkami kobiet w jedwabnych pończochach i w jasnych kapeluszach, mężczyzn w marynarkach i melonikach na głowie. Poufale zagadują do biednego obdartusa i klepią go po plecach. Zbierają się przed trumną i rozmawiają dalej o interesach wielkich i małych. Wydaje się że śmierć nie istnieje dla tych ludzi tak czynnych, wyżywających się gestami i okrzykami. Przyszli tu tak jakby przyszli na jakąkolwiek uroczystość publiczną. Tyle tylko że uciszają się gdy na trybunę wchodzą dwaj czarno odziani ludzie. Pierwszy sławi w doskonałej polszczyźnie cnoty rodzinne zmarłej. Drugi intonuje święte pienia, wypełniające kopułę, przywołujące serafiny i bez wątpienia budzące zachwyt Boga do którego zwracają się z błaganiem. Boleściwe lub tryumfalne są jednocześnie tak czyste że każą myśleć o wzlotach i krążeniu gołębi nad otwartym dołem.

Pozwalam sobie iść za orszakiem w poprzek cmentarza. Pierwszy napis, jaki widzę idąc wśród grobów, przypomina mi przyjaciela, Altenberga, który był wielkim wydawcą lwowskim. Zatrzymuję się przed jego nagrobkiem aby odmówić modlitwę która nie jest zgodna ani z obrządkiem ani z duchem judaizmu. A jednak przyjmie ją Stwórca wszystkich ludzi, i bez wątpienia ucieszy ona Altenberga. Niech moi żydowscy przyjaciele wypowiedzą nad moją mogiłą oznaczoną krzyżem słowa które by odmówili za swoje siostry. Z góry im za to dziękuję.

Kiedy dołączam się do orszaku, grabarze pośpiesznie zrzucają ziemię do dołu, obecni się rozpraszają.

Groby są naprawdę godne uwagi przez bogactwo i w większości także przez swój dobry smak. Ponieważ wyobrażenia postaci są tutaj zakazane, wszystko ogranicza się do linii. Cmentarz zyskuje przez to na godności. Nad pomnikami z czarnego marmuru, granitu, porfiru, wierzby zwieszają gałęzie, róże ronią kwiaty. Ten nekropol każe myśleć o tych ogrodach włoskich gdzie kwiaty są piękne, ale kamień odgrywa większą rolę aniżeli rośliny.

Schodząc stokiem po wąskich schodkach zanurzam się w starożytną część zagrodzenia, w miękką ziemię, gnijące liście, w wilgoć która ścieka z drzew zamykających się w gęste sklepienie i zwilża na pół obalone kamienie. Zaskakuje metalowe, okopcone pudło umieszczone na słupie jak gołębnik: trzepoce się w nim gołąb pod postacią świecy która dopala się w otoczce sadzy.

Wysokie nagrobki tworzą aleję. Zdobiące je emblematy: tablice praw, pochodnie, gwiazdy wskazują że kryją one szczątki rabinów, mędrców lub cudotwórców.

Gdy się myśli o rasie wybranej, wszędzie ściganej i którą od dwu tysięcy lat podtrzymuje nadzieja powrotu do Jerozolimy w najbliższym roku, wynurza się w wyobraźni Palestyna jałowa, płona, pusta, prowadząca spalonymi zboczami trzodę niezliczonych grobów w posępny błękit nieba.

Podobne do siebie, urzeczywistniające rojenie o absolutnej równości te wąskie, niewysokie kamienie wypełniają przestrzeń i opanowują wyobraźnię. Białe jak kości które kryją, niekiedy są pobazgrane ochrą lub indygiem. Zdobią je niezdarne, prostacko złocone ornamenty: napisy z nierównych liter, czerwone kosze z owocami, złamana gałąź... Nie przyciągają one uwagi, ponieważ ulega ona hipnozie tych nieskończonych szeregów kamieni nagrobnych na gorzkiej i zrozpaczonej pochyłości, która wznosi się w górę jak zawodzenie.

Stary Żyd o chudej, czarnej sylwetce, pochylonej wśród grobów, wodzi za mną oczami, nie może się przezwyciężyć, zaczepia mnie. Zbliża się młoda kobieta i słucha. Tak, jestem turystką, chrześcijanką, Francuzką, mieszkam w Paryżu... Tak, jest dużo Żydów w Paryżu... Grzebie się ich na tych samych cmentarzach co chrześcijan... Tak, groby są pomieszane... Moi rozmówcy podskakują z obrzydzenia, nie chcą wierzyć swoim uszom. Muszę potwierdzić moją informację wprowadzającą ich w osłupienie i dotkliwą jak obelga.

— Przyjaciele, — mówię, — Bóg jest jeden.

— Bez wątpienia.

— A zatem Żydzi i chrześcijanie są jego stworzeniami?

— Może.

Ale czują się nieswojo i pozwalają mi odejść.

Jeszcze kilka kroków i znajduję się na szczycie wzgórza, na szczycie cmentarza. Niski murek oddziela go od ubogiego cmentarza chrześcijańskiego, na którym wzgórki ziemi giną wśród trawy. Bardzo wysokie krzyże z drzewa mieszają się tam z brzozami. Jakaś chrześcijanka z dziewczynką na ramieniu rzuca mimochodem zaciekawione spojrzenie na groby izraelickie.

Nędza na prawo, nędza na lewo, zgnilizna po obu stronach. Ale w niebie sklepiącym się ponad dwoma cmentarzami świeci pełne miłosierdzia spojrzenie Boga który jest ojcem nas wszystkich.

Rosa Bailly,
przełożył
Tymon Terlecki.

WACŁAW IWANIUK

CIEŃ

Słowa — cierpiące zdania —
po kątach za mną biegają jak koty,
a ja jestem, jak Polak na wygnaniu,
zaszyty w worek tęsknoty.

Nic nie widzę, oprócz własnych źrenic —
ślepe jądra zastygły w ciemności —
i jak kret w korytarzach podziemnych
wierzę w dzień biblijnej jasności.

Obarczony patriotycznym jarzmem
niosę w dłoniach spóźnione gromy,
w które wierzę, jak każdy błazen
budujący na piaskach ruchomych.

Wciąż podbijam śpiewającą ciszę,
oczekując aż sfrunie do mnie anioł —
i tak w worek tęsknoty zaszyty
jestem wciąż Polakiem na wygnaniu.

MALWY

Cienie wysokich roślin —
wspomnieniami kwitnące malwy —
chodzą za mną i proszą
o gotycki wysmukły psalm.

By poeta piórem ze strun
opowiedział dzieje ich duszy —
pękiem rymów jak pękiem pawich piór
czytelników serca poruszył.

Niech przypomną sobie ich własny
ogród skryty w pajęczej roślinności —
i ich malwy: rakiety jasne
strzelające w okna z ciemności.

Przy nich dom, w królestwie słów,
wsparty o płot, świecący nowiem —
szukający uparcie wieczności
tak jak każdy zgubiony człowiek.

STEFAN LEGEŻYŃSKI

PRZYJDĘ

Patrzę: znajoma twarz —
przyjaciel?
Nie, on się w mgle zatracił.

Myślę wieczorem —
dawnom go nie spotkał...
A tu prostokąt —
czarna wywrotka.

Tu przychodzę,
tuśmy byli jednej niedzieli...
Jak wiatr, dwa lata
w pamięci się popieli.

Przyjaciele rozdali karty,
przyjdę
z kalendarza wydarty.

ALEKSANDER JANTA

„TUTAY ŚPIĄ JESZCZE WIĘC SIĘ NIEDOPISUIĄ"

O nieznanych autografach Chopina w Ameryce

Wydana w Polsce w r. 1955 nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, a przygotowana pod redakcją Bronisława E. Sydowa dwutomowa „Korespondencja" Chopina stanowi cenny przewodnik dla poszukiwacza pamiątek po nim — w Stanach Zjednoczonych.

Utwierdzić się musimy, niestety, w podpowiedzianym przez wstęp i przypisy Sydowa przekonaniu że od powstania w r. 1863 do ostatniej wojny „nieubłagany los prześladuje puściznę po Fryderyku Chopinie". Płoną w mieszkaniu warszawskim, Izabelli Barcińskiej, jego listy podczas rabunku pałacu Zamoyskich na Nowym Świecie po zamachu na namiestnika Berga w r. 1863. Runął wtedy na bruk „sprzęt podobny do trumny" — jego fortepian. W r. 1939 w mieszkaniu Ciechomskich giną dalsze pamiątki i listy Chopina, odziedziczone po jego drugiej siostrze, Ludwice Jędrzejewiczowej. Czytamy we wspomnianej „Korespondencji" że listy do Delfiny Potockiej, przewiezione z Rogalina i schowane w piwnicach pałacu Raczyńskich przy Krakowskim Przedmieściu 5, „prawdopodobnie spłonęły we wrześniu 1939".

Z dawnych czasów wiadomo że George Sand spaliła swoje listy do Chopina, które Alexandre Dumas syn znalazł w Mysłowicach i które usłużnie jej pożyczył, jak również większość listów otrzymanych od Chopina.

Listy z lat szkolnych do Jana Białobłockiego w Archiwum Akt Dawnych spaliły się podczas powstania w r. 1944. Razem z Biblioteką Krasińskich na Okólniku po powstaniu warszawskim zginął w płomieniach oryginał albumu-pamiętnika z t.zw. dziennikiem stuttgarckim. To samo dotyczy listów w polskich antykwariatach i zbiorach prywatnych.

Czyli prawdziwy pogrom. W dodatku nawet zbiory Arthura Hedleya w Londynie ucierpiały podczas bombardowania, „przy czym uległo zniszczeniu wiele listów nigdy dotąd nie ogłoszonych".

Gdy zastanowić się nad tym rejestrem niepowetowanych strat, do którego dodać trzeba jeszcze listy w prywatnych zbiorach w Poznańskiem, a nawet list sprzedany przed wojną Bibliotece Narodowej przez Juliana Tuwima („nie chcąc by list Chopina poszedł za granicę"), po którym nie ma dziś śladu, można uważać za szczęśliwą okoliczność że niektóre z autografów Chopina sprzedane były właśnie za granicę; dzięki temu ocalały. Uratowały się także i czekają na powrót w odpowiedniej chwili do Instytutu im. Fryderyka Chopina rękopisy muzyczne Chopina, 509 kart nutowych zapisanych jego ręką, które rząd polski zakupił w r. 1937 od Breitkopfa i Haertla w Lipsku.

Poszukując chopinowskich pamiątek w Ameryce, natrafiłem na nie znane redaktorom krajowego wydania „Korespondencji" pozycje.

Zacznę od stwierdzenia że w zbiorach nowojorskich Artura Rubinsteina znajdują się następujące autografy Chopina (według numeracji zawartej w „Korespondencji"): nr 3 — wierszowana laurka na imieniny ojca z 6 grudnia 1817 (w przypisach „Korespondencji" nieściśle odnotowano że znajduje się ona w zbiorach Tow. im Chopina w Warszawie) oraz nr 246 — list do Juliana Fontany z Palmy na Majorce z 3 grudnia 1838. Redaktorzy „Korespondencji" piszą o dziejach tego listu: „Rkps był w zbiorach K. Lilpopa w Warszawie. Czy i gdzie jest obecnie, nie wiadomo".

List ten nabył razem z wieloma innymi listami Chopina Aleksander Kahanowicz, który posiadał jeden z najważniejszych prywatnych zbiorów poloniców poza Polską m.in. zbiór listów Kościuszki, wystawiany w Pałacu Staszica w Warszawie w r. 1927. Od Kahanowicza w r. 1931 niektóre listy do Fontany przeszły do zbiorów Pawła Kochańskiego.

List Chopina, pisany z Londynu w lipcu 1837, oznaczony w „Korespondencji" nr. 217, znalazł się w zbiorach Rubinsteina za moim pośrednictwem. Przypis Sydowa przypomina że „Wiadomości Literackie" w nr. 9 z r. 1937 po raz pierwszy przytoczyły jego treść, podając że pochodzi z r. 1848. O dziejach tego listu przedrukowanego w całości w książce Kazimierza Wierzyńskiego, podobnie jak listu oznaczonego nr. 620 „Do Karola Szulczewskiego", który również otrzymałem w swoim czasie od Mariana Sztajnsberga, pisałem w r. 1955 w „Wiadomościach" (nr 475). Prócz tych dwóch listów, Rubinstein posiada jeszcze pochodzący od Sztajnsberga bilet wizytowy z nazwiskiem „Mr. Camille Pleyel" i ołówkowym dopiskiem Chopina, bez daty: „Czekamy Ciebie o 5tej godz. Ch.".

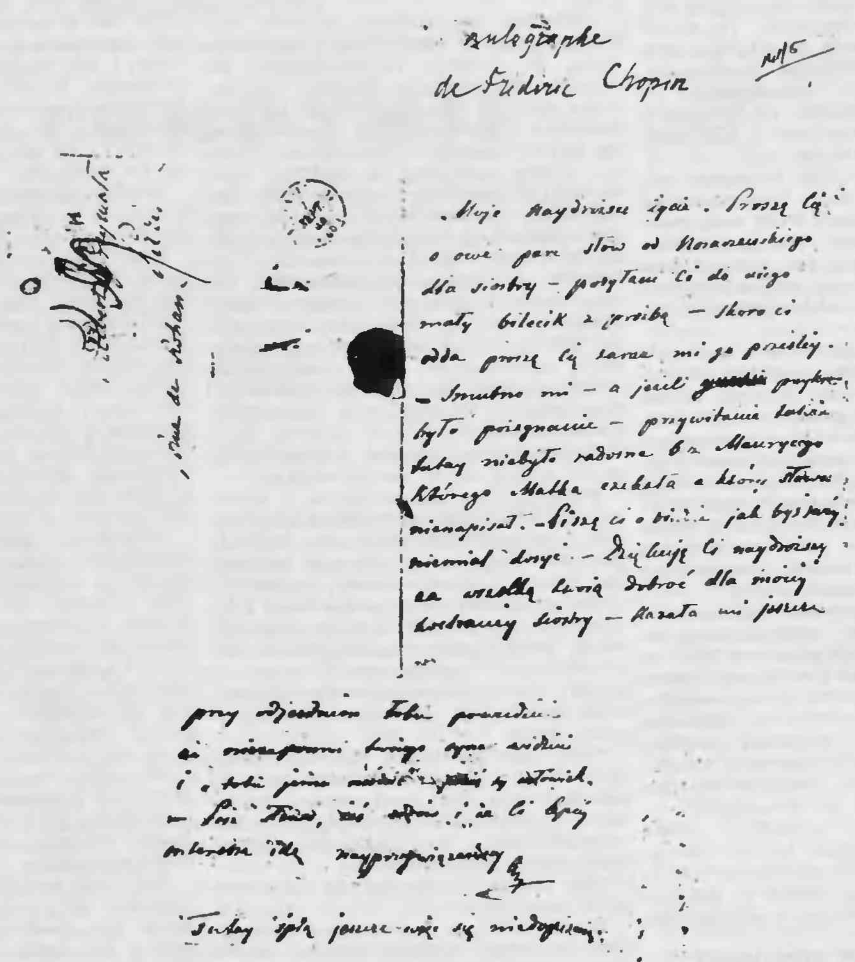
Poza wspomnianymi pięciu autografami i rękopisem pieśni „Wojak", zbiór Rubinsteina zawiera list, którego tekst najwyraźniej nie jest znany w Polsce. Otrzymał go w Londynie przed 25 laty jako podarunek ślubny. Jest to list do Wojciecha Grzymały, który w układzie „Korespondencji" przypadłby po nr. 440:

Moje najdroższe Życie. Proszę Cię o owe parę słów od Nosarzewskiego dla siostry — posyłam Ci do niego mały bilecik z prośbą — Skoro ci odda proszę Cię zaraz mi go prześley. — Smutno mi — a jeżeli przykre było pożegnanie — przywitanie także tutay niebyło radosne bez Maurycego którego Matka czekala a który słowa nienapisał. — Piszę ci o biedzie jak byś swey niemiał dosyć. — Dziękuję Ci najdroższy za wszelką Twoią dobroć dla moiey kochaney siostry — Kazała mi jeszcze przy odjezdnem Tobie powiedzieć że niezapomni twoiego syna widzieć i o tobie jemu mówić — jakiś ty człowiek. — Pisz słowo, żeś zdrów i że Ci lepiey interessa idą

nayprzywiązańszy

Ch

Tutay śpią jeszcze więc się niedopisuią.



List do Wojciecha Grzymały z r. 1844
(ze zbiorów Artura Rubinsteina)



Szkic pomysłu muzycznego
(ze zbiorów F. O. Kallira)

List ten nosi pieczęć poczty paryskiej z 7 września 1844. Wspomina pożegnanie z siostrą Jędrzejewiczową, która z mężem Kalasantym odwiedzała Chopina w Nohant i którą Chopin dopiero co odwiózł do Paryża, skąd wracała do Polski. Już następny w „Korespondencji" list Chopina do Marie de Rozières w Paryżu, datowany 7 września z Nohant, wspomina że „Maurycy właśnie napisał". W przytoczonym wyżej liście Chopina ciekawe jest w związku ze sprawami siostry nazwisko Nosarzewskiego. Występuje ono raz jeszcze w jego korespondencji, w liście z 4 września 1848, pisanym z „Johnston Castel [!]", o jedenaście mil od Glasgowa, do tegoż Grzymały. W liście tym znajdują się następujące zdania:

Dziękuję Ci za Twój poczciwy list i za Nossarz. O kocie dzikim nie myślę bo i cachemire mój mi cięży. Uściskaj go i powiedz że zaraz spróbuję jak tylko go uniosę. Aże że serio spróbuję może, jak zimno będzie!

Redaktorzy „Korespondencji" nie umieli dać sobie rady z wymienionym w liście „Nossarzem". Wstawili wprawdzie „Nossarza" do wykazu nazwisk, ale na wszelki wypadek zaopatrzyli go w znak zapytania. Przytoczony wyżej list Grzymały ze zbiorów Rubinsteina w pewnym sensie rozwiązuje tajemnicę. Pytanie tylko kim był Nosarzewski? Futrzarzem czy ekspedytorem, załatwiającym jakieś sprawy dla siostry Ludwiki? Ze szkockiego listu Chopina wynikałoby że mu się postarał o futro, zbyt widocznie ciężkie na jego wątłe siły.

Prostujemy inne nieścisłości przypisów do „Korespondencji". W Ameryce znajdują się w zbiorach prywatnych listy do Fontany oznaczone nr. nr. 277, 279, 280 i 324. Nr 324 zawiera następujące zdanie:

Moje kochanie, stary Bracie, zagram Ci kiedyś jeszcze może po ciemku na przeprosiny.

Jest własnością Zofii Kochańskiej w Nowym Jorku.

Redaktorzy „Korespondencji" uważali wszystkie te autografy za zaginione. Natomiast list, oznaczony nr. 282, o którym wiedzieli że znajduje się w posiadaniu Karola Liszniewskiego w Cincinnati (dziś 80-letniego pianisty i profesora muzyki, ucznia Karola Mikulego; Mikuli brał za młodu lekcje u samego Chopina), wrócił już do Warszawy, ofiarowany Instytutowi im. Chopina.

List do Very Rubio, oznaczony nr. 527, znajduje się nie w Szwajcarii, ale w zbiorach Aleksandra Brailowskiego w Nowym Jorku.

Niepokoją mnie trochę wzmianki dotyczące listów, które znajdowały się przed wojną w Bibliotece Narodowej w Warszawie. W przypisach wyrażono przypuszczenie że „zostały one prawdopodobnie wywiezione do Kanady". Niestety, inwentarz autografów chopinowskich znajdujących się w Kanadzie nie wykazuje tych pozycji. W wykazie tego inwentarza znajduje się, poza rękopisami muzycznymi Chopina, jedynie 13 listów do Chopina ze zbiorów Adama Łyszczyńskiego w Edynburgu, ogłoszonych w r. 1938. Natomiast listy Chopina, oznaczone nr. nr. 295, 306, 318, 329 i 582, wbrew przypuszczeniu redaktorów „Korespondencji", do Kanady nie dotarły.

W r. 1953 ukazał się nakładem uniwersytetu w Filadelfii katalog rękopisów muzycznych kompozytorów europejskich znajdujących się w posiadaniu bibliotek i w prywatnych zbiorach Ameryki. Katalog wymienia 12 rękopisów muzycznych Chopina. Nowojorska Biblioteka Publiczna szczyci się posiadaniem listu Chopina w zbiorze oznaczonym nazwiskiem ofiarodawcy p. Alexandre'a Lambert. Wspomniany katalog wymienia jednego z gorliwszych zbieraczy autografów i pamiątek po muzykach epoki romantycznej, F. D. Kallira, który posiada m.in. dwa listy Chopina i rękopis „Impromptu no. 2, opus 36, F Dur". Tak się złożyło że byłem świadkiem nabywania przez niego obu wspomnianych listów. Jeden nawinął się mu prywatnie; jest to list do Fontany oznaczony w krajowym wydaniu „Korespondencji" nr. 349, o którym, jak o wielu innych mówi się w przypisach że „nie wiadomo czy i gdzie jest obecnie". Drugi sprzedano na licytacji zbioru autografów Heleny Fahnestock Hubbard, która odbyła się w Parke-Bernet Galleries w Nowym Jorku, 27 marca 1956. Był tam list Chopina do Grzymały. Kupił go wspomniany wyżej Kallir za 500 dol. Okazało się że jest to list nie znany redaktorom krajowej „Korespondencji". W „Korespondencji" zająłby miejsce po nr. 376. Nosi datę 13 lipca 1842 w dopisku Maurice'a i pozdrowienia, dopisane ręką George Sand:

Moje kochanie — Miałem list z domu w którym mi piszą o twoim chłopaczku — że zdrowiuteńki (textualnie wypisuię) że miał pisać do ciebie i zapewne już list odebrałeś i żebyś się nietrwożył o niego bo zewszech miar prosperuie.

— Delacroix poczciwiec wczoraj rano wyjechał. Maurycy go do Chateauroux odwiózł — Bawił tu cztery tygodnie — które nam bardzo prędko zeszły — i radbym żeby wieś mu posłużyła. Jego pobyt tutay wielce dobrze na młodego działał. — Szkoda żeś momentu wolnego niemiał spędzić tu razem z nim. Ale chociaż Pani domu spodziewała się że może przyjedziesz — ja przyznam Ci się że naymnieyszey niemiałem nadziei — bo wiem wszystkie kłopoty Paryzkie — żelazne i nieżelazne. — Proszę cię odday przechodząc na bursę list móy do oyca — wyperswadowałeś mi że ci to nic nieszkodzi w przeszłym liście twoim — więc masz. — Napisz słowo proszę cię. Bądź szczęśliwy.

Twóy stary

Ch

Bonjour mon vieux. Aime moi.

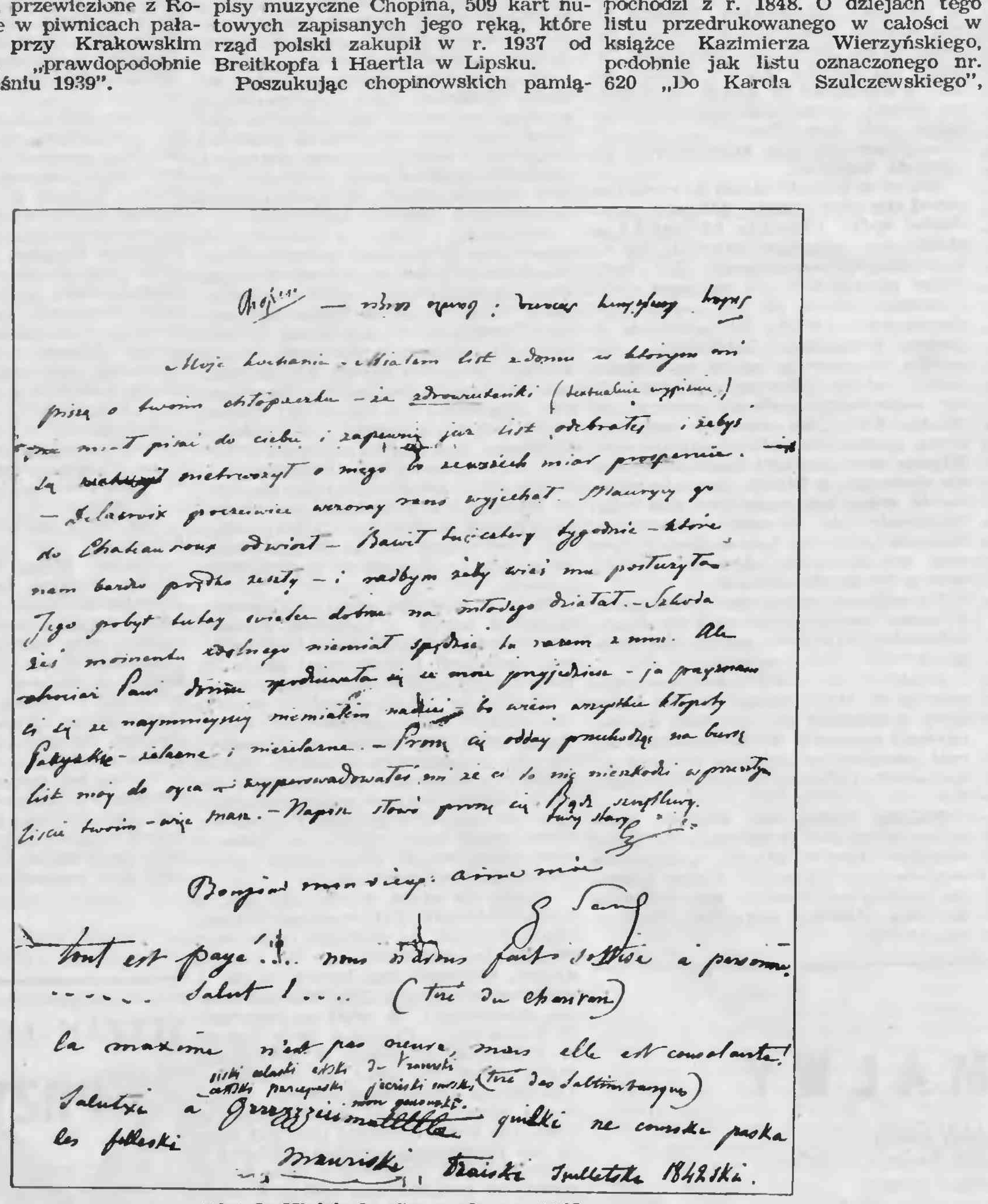
G Sand

tout est payé... nous n'avons fait sottise a personne. . . . . . salut! . . . (tiré du Charivari) la maxime n'est pas neuve, mais elle est consolante!

siski celaski estski de traverski cetski parcequeski j'écriski surski mon genouski. (tiré des Saltimbanques) Salutxi a Grrrzzziiimalllllla quilki ne courski paska les filleski

Mauriski Traiski Juilletski 1842ski.

Tutay konfitury smarzą i bardzo zajęci —



List do Wojciecha Grzymały z r. 1842
(ze zbiorów F. O. Kallira)

Figlarne dopiski Maurice'a znakomicie ilustrują atmosferę dworu w Nohant. To nie tylko przedrzeźnianie polszczyzny przez dodawanie do każdego słowa polskiej końcówki, to także pewna forma dziecinnego szyfru a jednocześnie figla, stosowanego konsekwentnie, aż do zdeformowania daty. Pobyt Chopina i jego polskich przyjaciół w domu George Sand oswaja francuskich gospodarzy nawet z pisownią polską, o czym wymownie świadczy przekreślenie tych pięciu *l* w rozciągniętym nazwisku Grzymały, aby stało się zadość wymaganiom polskiej ortografii. Nieźle też podkreśla rozbudzoną wyobraźnię Maurice'a rada dawana o tyle starszemu od niego przyjacielowi Chopina, Grzymale, aby „nie biegał za dziewczynkami". Musiał on mieć nie tylko ustaloną na ten temat reputację, ale w dodatku na pewno mówiono o tym w Nohant nader często i z niedyskretnym upodobaniem nieznośnego młodzieńca. Zapewne też aluzje do kłopotów „żelaznych i nieżelaznych" dotyczą tej strony „interessów" Grzymały.

Pod nr 376 w krajowym wydaniu „Korespondencji" przytoczono list Eugène'a Delacroix z Paryża do George Sand, którego datę wydawcy ustalają mylnie „jako koniec czerwca 1842". Jest to list dziękujący za gościnę w Nohant. Przytoczony wyżej list Chopina z 13 lipca, który dokładnie określa datę wyjazdu Delacroix („wczoraj rano wyjechał") wskazuje że zamiast „końca czerwca 1842" daty listu Delacroix szukać należy po 15 lipca.

W zbiorach wspomnianego Kallira, który posiada m.in. oryginał listu Schumanna do Klary, opisującego wizytę Chopina u niego, znajduje się jeszcze reprodukowana poniżej „nutatka" Chopina — szkic pomysłu muzycznego rzucony na papier w pośpiechu i tym także ciekawy że zawiera po prawej stronie spisane jego ręką zestawienie preludiów, nad którym tak jakby zastanawiał się pod kątem zmiany układu albo specjalnego doboru dwóch grup, złożonych, jedna z pięciu, druga z czterech preludiów.

„Nutatka" owa pochodzi z paryskiego zbioru Czartoryskich; sprzedano ją przed wojną i od tego czasu znajduje się w Ameryce.

Ważnym uzupełnieniem wyżej podanych informacji o nie znanych w Polsce autografach Chopina niech będzie tekst listu Barcińskiej do A. M. Schlesingera w Berlinie, którego autograf jest w tej chwili do nabycia w Ameryce. Dostał się tu prawdopodobnie za sprawą wspomnianego poprzednio Kahanowicza.

Daję poniżej przekład z francuskiego oryginału:

Panie: Melodie nie ogłoszone po śmierci mego brata Fryderyka Chopina nie zostały opublikowane dotychczas ponieważ p. Fontana który był łaskaw przygotować rękopisy, po przejrzeniu ich z najskrupulatniejszą uwagą, nie chce się podjąć z powodu braku czasu korespondowania i załatwiania spraw jakich wymaga ich publikacja — donosi mi pozatem, że ze względów jemu tylko wiadomych nie ma on chęci utrzymywania na przyszłość bezpośredniego stosunku z Waszym wydawnictwem. Wobec tego w charakterze pośredniczki, czy raczej zastępując p. Fontanę zwracam się do Pana aby dowiedzieć się czy nie zechciałby Pan podjąć się wydania tych Melodii tak jak czynił to Pan z kompozycjami na fortepian i jakie byłyby w takim wypadku Pana warunki. Te Melodie są w liczbie siedemnastu, z tych szesnaście może tworzyć osiem zeszytów podobnie jak z kompozycjami na fortepian. Co do siedemnastej, ponieważ nie mogłaby ona być sprzedawana w naszym kraju, trzeba by ją ogłosić osobno. [Idzie tu oczywiście o „Śpiew grobowy"). *Jeżeli moja propozycja Panu odpowiada i jeżeli sprawa się ułoży, oto warunki jakie będę zmuszona Panu postawić nie co do ceny, ale co do wydania:*

1. Nie może być dokonana żadna zmiana w porządku, ani w kolejności Melodii, które muszą być ogłoszone z najbardziej ścisłą dokładnością, nie odejmując i nie dodając niczego.

2. Aby p. Fontana miał sobie powierzone korekty, tak jak to uzna za potrzebne, gdyż jest koniecznością aby wydanie było doskonałe i Pan sam tylko może na tym zyskać.

3. Aby Melodie nie poddane były najmniejszym zmianom dla ułatwienia roboty tłumaczom, którzy mają zwyczaj skracania lub przedłużania tonów tak jak im to jest dogodne, gdyż byłoby to prawdziwie okropnym okaleczeniem.

Jeżeli warunki zostaną przyjęte z jednej i z drugiej strony i sprawa się ułoży, liczę na sprzedanie Panu Melodii, które będzie Pan miał prawo ogłoszenia we wszystkich krajach, z wyjątkiem Belgii i Francji.

W oczekiwaniu rychłej odpowiedzi na ten temat proszę o przyjęcie wyrazów mego doskonałego uważania,

Izabella Barcińska, urodzona Chopin
Warszawa, 9-go lutego 1847.
Mój adres: Warszawa, Mazowiecka Nr. 1347 [liczba ta oznaczała hipoteczny numer posesji].

Zachowała się również koperta adresowana: „Mr. A. Mt. Schlesinger, A Berlin, 34 Linden". Nosi ona pieczęć „Aus Russland Franco", pieczęć poczty warszawskiej z datą 9/2, a na odwrocie pieczęć lakową wysyłającej i pieczęć poczty Breslau-Berlin.



List Izabelli Barcińskiej, siostry Chopina

Odpowiedź Schlesingera napisana jest na tym samym liście z datą 20 lutego 1857. Brzmi ona:

Pragnę własności tylko na Niemcy, proszę wyznaczyć honorarium.

Trudno mi stwierdzić czy ten list był kiedykolwiek ogłoszony w Polsce. Fakt jednak że tego rodzaju chopiniana zjawiają się dzisiaj na rynku amerykańskim, jak również istnienie nieznanych listów Chopina w zbiorach amerykańskich, ośmiela do wyrażenia nadziei że na podanych dziś tutaj do wiadomości „truwaliach" nie koniec i że z pomocą przyjaciół oraz przysłowiowego szczęścia będę mógł z czasem ogłosić dalsze odkrycia w wyniku prowadzonych obecnie poszukiwań.

Aleksander Janta.

MIECZYSŁAW LURCZYŃSKI

ZNAJOMEK Z SALAMANKI

O siódmej rano czekał już przed drzwiami. Złorzecząc zszedłem na dół, „criada" zniosła walizkę. Dzień zapowiadał się pięknie. Różowe wieże uniwersytetu i katedry płonęły złotą poświatą słońca. W powietrzu trwała pełna świątecznego nastroju cisza. Podkreślał ją szelest skrzydeł jaskółek, które szybowały setkami, woltyżując wokół kamiennej postaci poety Fray Luis de León, stojącej na środku plaza. Czerwona ściana uniwersytetu, żarząc się w słońcu, olśniewała bogatym ornamentem w czystym stylu „plateresco".

— Buenos dias — rzekłem. — Mamy jeszcze mnóstwo czasu do odejścia pociągu — dodałem z lekkim w głosie wyrzutem za zbyt wczesne przybycie.

Stary człowiek o wypłowiałych niebieskich oczach i siwym wąsie podniósł się z przedproża, na którym przycupnął.

— Buenos dias, señor — odpowiedział. — Chciałbym po drodze wstąpić na Plaza Mayor. Autobus z Segowii przychodzi za pół godziny, może uda mi się zarobić parę pesetów.

Zaczął zwolna i z trudem ładować walizkę na wózek. Przyglądałem się nieśpiesznym ruchom tragarza. Chudy, drobny człowiek w wyblakłym, ongi niebieskim kombinezonie, długo porał się z ciężarem.

Ruszyliśmy. Wózek zaturkotał po kocich łbach zaułka, po czym przycichł na szerszej wykładanej kamiennymi płytami ulicy wiodącej wzdłuż Catedral Vieja. Od strony Tormesu powiał wiatr, niosąc odurzający zapach magnolii i cytryn. Miasto jeszcze spało. Z podsienia piekarni wynurzył się osiołek i strzygąc podejrzliwie wiatrakami uszu minął nas, zmierzając w stronę duchownego „colegio". Z boków zwierzęcia zwisały dwa ogromne kosze pełne świeżo upieczonych chlebów. Czarno ubrana kobieta szła za osiołkiem, niosąc w ręku blaszankę.

Lekkie wzniesienie ulicy koło Casa de las Conchas, potężnej, ozdobionej ornamentem pątniczych muszli budowli z czasów Ich Katolickich Mości, Izabeli i Ferdynanda, zmęczyło tragarza. Przystanął, oparł się o dyszel wózka.

— Señor z daleka? — zagaił, patrząc na mnie swymi wyblakłymi niebieskimi oczami dziecka.

— Z Paryża — rzekłem, przystając również i obserwując przechadzkę dwu gołębi, drepcących wokół cembrowiny fontanny.

— Señor mówi dobrze po hiszpańsku — dobiegło mnie stwierdzenie tragarza.

— Nauczyłem się języka w Kastylii. Siedzę tu już pół roku.

Wyjął z kieszeni blaszane pudełko. Zreumatyzowanymi palcami skręcił papierosa i wypuszczając pierwszy kłąb dymu, dodał z namysłem:

— Rzadko zdarza mi się rozmawiać z cudzoziemcem. Przyjeżdża ich tu wielu. Ale zazwyczaj nie mówią po hiszpańsku. I śpieszą się. Jakby uciekali przed Guardia Civil.

Palcem strącił popiół z papierosa.

— Señor zna Shakespeare'a? — spytał.

Nie zrozumiałem pytania.

— To był taki pisarz — wyjaśniał. — Może największy na świecie. Shakespeare. Czytałem niedawno jego tragedię „Królewicz Hamlet".

— Ah, Szekspir — rzekłem z ulgą. — Wymawia się Szekspir, nie Shakespeare — wtrąciłem. — Pan czytał „Hamleta"? — dodałem ze zdziwieniem, tak wygląd tragarza nie odpowiadał jego zainteresowaniom książkowym.

Skinął głową.

— Szekspir. Señor musi wiedzieć. Poznałem również inne jego tragedie. Ale „Hamlet" wydał mi się najpiękniejszy. Lepszy od tragedii Calderona. Mogę dowiedzieć się czy señor oglądał tę sztukę w teatrze?

— Wielokrotnie — stwierdziłem. — Czemu pan pyta?

Wzruszył ramionami.

— Och... przyjemnie jest mówić z kimś kto własnymi oczami oglądał tak piękne widowisko.

Wielki dzwon katedry, ogrom ważący dwie tony, jak z dumą nadmienił kiedyś przyjaciel mój, Padre Vilar, zawibrował dźwiękiem. Powietrze pękało od huku niosącego się nad uśpione ciągle miasto. Po pierwszym dźwięku przyszedł drugi, potem trzeci... Staliśmy oniemiali, zatopieni w powodzi nieziemskiego krzyku, wydani na pastwę jego nie do pokonania mocy.

— Myślę że takie musiało być serce owego Szekspira — rzekł do mnie tragarz gdy przebrzmiały huczące tony dzwonu.

Wskazał ręką na wieżę katedry, turnię ze złota zanurzoną w szmaragdowym oceanie porannego nieba, nie splamionego pianą ani jednego obłoku.

Przyglądałem się staremu człowiekowi z coraz większym zdziwieniem. Patrzyłem na żylastą chudą szyję, pokrajaną w zmarszczki podobne do spękanej skóry czarnego chleba, na zwisające „nietzscheańsko", żółte od nikotyny wąsy, na zmierzwione resztki siwych włosów na głowie, na wytarte pocerowane odzienie, pod którym trudno było przeczuć istnienie ciała. Sznurkowe espadrille bez skarpetek przydawały nieokreślonego, trochę mnisiego uduchowienia tej niecodziennej postaci wielbiciela literatury.

— W Hiszpanii mamy również wielu dobrych pisarzy — stwierdził tragarz, ponownie ujmując dyszel wozu.

Szedłem brzegiem chodnika, by, mimo stuku kół, słyszeć słowa mego rozmówcy. Pchając zwolna dwukółkę opowiadał mi o dręczącej go od najwcześniejszej młodości pasji czytania. Czasem odwracał głowę i spoglądał na mnie swymi niebieskimi wyblakłymi oczami. Walizka podskakiwała na wybojach. Dzień pojaśniał gwałtownie światłem coraz bardziej rażącym oczy. Na ulicach przybywało ludzi.

Plaza Mayor była pusta. Słońce, wkraczające do podsieni, pocięło kolumny w ażurowe wycinanki ze światła i cieni. Z tympanów nad kolumnami wychylały się płaskorzeźby królów Hiszpanii. Zlana wodą nawierzchnia placu, odbijając promienie słońca, oślepiała niby płaszczyzna weneckiego lustra. Koło Ayuntamiento dwaj czarno-biali kelnerzy ospale rozstawiali stoliki na zewnątrz cukierni.

Przystanęliśmy w pobliżu „fondy" służącej zarazem jako stacja autobusów. Tragarz przycupnął na zrębie chodnika. Skręcił w palcach papierosa.

— Señor daleko jedzie? — spytał.

— Chwilowo do Avili.

— A potem?

— Madryt, Santander, Paryż.

Powlókł wyblakłymi oczami po barokowym cudzie Plaza Mayor.

— Książka — rzekł z namysłem — jest także podróżą. Señor będzie wiedział czy piękniejszą od tej jaką się czyni w rzeczywistości.

— To zależy od książki i podróży — stwierdziłem zdawkowo i zaraz zawstydziłem się banalności wypowiedzianego zdania.

Przez chwilę rozważał znaczenie mych słów, może oglądał cierpką ich nijakość. Później odwrócił się bokiem i skurczony, otoczony dymem papierosa, pogrążył się we własnych myślach, z trudem przyjmujących coraz bardziej określone kształty.

— Gdy czytałem „Otella", przeniosłem się do Włoch — zaczął zwolna i z namysłem. — I odnalazłem się w innym czasie, nie dzisiejszym. „Hamlet" to znowu była Dania i czasy jeszcze odleglejsze. Jakie to dziwne... I jakie niesłychane jednocześnie, ta... ta cudowna możliwość ludzkiego mózgu... przenikania warstwy godzin i lat.

Zamilkł, pociągając dym z papierosa.

— W pociągu nie pozna się tego co było wczoraj — zaczął znowu. — Tam jest się zaczepionym o czas jak barka zaczepiona jest kotwicą o dno morskie. Pewne rzeczy można jedynie przeczuć. A książka potrafi nas oderwać od... tego co jest dzisiaj... i przenieść... w przeszłość... lub w przyszłość. Czytałem właśnie opowieść o międzygwiezdnej podróży, która może odbędzie się za sto lat...

Ze zmierzwioną, podpartą pięściami głową, z chudą, zdrewniałą od wiatru i słońca twarzą, w prostym nad wyraz odzieniu wyglądał na frasobliwego Chrystusa przypatrującego się nędzy ziemskiego bytowania. Zaciekawiał mnie ten stary człowiek, który potrafił zapomnieć o troskach męczącej, nie na jego siły pracy i związanego z jej charakterem niedostatku.

Z cienia bramy Ayuntamiento wynurzył się wielki autobus Renfe i błyszcząc w słońcu chromem okuć przystanął koło hotelu. Kilka osób wysiadło rozpraszając się szybko w cieniu kolumnady.

— Kiepski dzień dla zarobku — uśmiechnął się stary człowiek, powstając.

Dworzec w Salamance znajduje się daleko poza miastem. Szliśmy ku niemu najprzód zaułkami śródmieścia, wzdłuż potężnych, w czerwonym kamieniu wzniesionych klasztorów, później szeroką wysadzaną platanami i nie znanym mi gatunkiem palm aleją. Ze smutkiem żegnałem złoto-różową Salamankę, z jej przeszłością rzymskich mostów nad Tormesem, z jej najsławniejszym ongi na świecie uniwersytetem, z jej własną harmonią budynków, z jej radością, z jej czarnym winem w małych traktierniach, gdzie spaleni słońcem robotnicy siadują milcząc na ławach ustawionych wzdłuż ścian. Alchemia nazwy tego miasta do dzisiaj wyczarowuje czasy których barwę potrafił odczuć Lesage i Cervantes. Jakże niewinnie zabawiały się kulawe diabły, podnosząc dachy domów w celu ukazania zakochanym licencjatom zakamarków ludzkiej duszy. Miasto uroku — matka cnót, nauk i sztuki — miało w sobie lekkość wyrafinowaną uśmiechającego się dostojeństwa.

Człowiek idący koło mnie, schylony nad wózkiem, opowiadał mi bez przerwy o swych przygodach z książkami, o gonitwie za drukowanym słowem i przedzieraniu się przez chaos bezwartościowej, wszechpanującej makulatury. Była to historia ciekawa, historia samouka uparcie dążącego do poznania i zrozumienia świata. Lecz mało zwracałem na nią uwagi, jedynie odruchowo potakując na dobiegające mnie zdania. Słońce zaczynało grzać, zbyt długi spacer stawał się nużący.

Tragarz również musiał odczuwać zwiększający się upał, gdyż przystanął i otarł pot z czoła.

— Szczerze mówiąc, gdyby nie wiara w Boga, przeświadczenie o sensie istnienia tego świata byłoby nielogiczne — rzekł ze wstydliwym uśmiechem.

Poczułem podziw dla formy w jaką została ujęta skarga na trud zbyt ciężkiej i mało przynoszącej pracy.

— Lecz przy tego rodzaju zajęciu — wskazałem ręką wózek — nie łatwo jest znaleźć czas na czytanie książek.

— W Salamance nie ma wielkiego ruchu pociągów. Nie brak mi więc czasu na lekturę.

Spojrzał ku słońcu.

— Señor posiada zegarek? — spytał.

— Ósma — rzekłem, patrząc na wskazówki.

— Mamy jeszcze godzinę czasu do nadejścia pociągu. Gdyby señor zechciał, mógłby, zamiast czekać na stacji, siąść tu, w cieniu platana. Pozwoliłbym sobie wtedy prosić señora o wyjaśnienie pewnej drobnej rzeczy — dodał z iście kastylijskim poczuciem grzeczności.

— Dobrze — rzekłem z wahaniem. — Bylebyśmy się nie spóźnili na pociąg.

Siedliśmy. Tragarz wyciągnął z kieszeni kombinezonu starą, poszarpaną książczynę.

— Señor jest człowiekiem wiedzącym — rzekł trochę uroczyście. — I zna się na książkach. Na pewno wiele ich poznał w życiu. Może i taka znalazła się w jego rękach.

Podsunął mi zeszyt przed oczy. Nabożnie, sztywnymi od reumatyzmu palcami otworzył okładkę. „Platero y yo" przeczytałem. Nad tytułem książki widniało nazwisko autora. Juan Ramón Jimenez.

— Znam tego pisarza — rzekłem. — Jest to poeta hiszpański, stale mieszkający w Ameryce. Czytałem wiele jego wierszy. Ale nie pamiętam bym się spotkał z tytułem „Platero y yo". Kim jest ów Platero?

Powoli, śliniąc palec ręki, tragarz przewracał karty książki. Na ustach miał chytry uśmieszek.

— Señor jest z Paryża, — mówił, — będzie więc mógł mi wyjaśnić co znaczą te słowa.

Przez chwilę jeszcze szukał, wreszcie zatrzymał się na stronie zatytułowanej „Ronsard" i czystym, zadziwiająco dźwięcznym „castillano" jął recytować:

Uwolniwszy Platera od uździenicy i puściwszy go na łączkę by pasł się tam wśród czystych stokrotek, usadowiłem się pod sosną, wyjąłem z ozdobionej arabskim deseniem torby małą książeczkę i otworzywszy ją w miejscu zaznaczonym, zacząłem półgłosem czytać:

Comme on voit sur la branche au mois
[de mai la rose
En sa belle jeunesse, en sa première
[fleur,
Rendre le ciel jaloux de...

W górze, wśród najwyższych gałęzi skakał i popiskiwał mały ptaszek, którego wraz z całym oddychającym zielenią pogórzem, słońce uczyniło błyszcząco złotym. Czasem wśród jego krótkich lotów i świegotań dawał się słyszeć słaby trzask łupinek ziaren, które ptaszek zjadał.

...jaloux de sa vive couleur...

Coś ogromnego i ciepłego, zmierzające niby dziób wojennego okrętu szybko w moją stronę, znalazło się ponad moim ramieniem... Był to Platero, który urzeczony niewątpliwie lirą Orfeja, przyszedł czytać wraz ze mną. Zaczęliśmy więc wspólnie:

...vive couleur,
Quand l'aube de ses pleurs au point
[du jour l'a...

Ale ptaszek, który najwidoczniej trawił szybko, pokrył ostatnie słowo przypiskiem zgoła fałszywym.

Ronsard, zapomniawszy na chwilę o swoim sonecie „Quand en songeant ma follastre j'accole"... musiał roześmiać się w piekle.

Początkowo chciało mi się śmiać ze strategii starego tragarza. Później przejąłem się pięknem tekstu. Wyjaśniłem czytającemu kim był Ronsard oraz przełożyłem tekst francuski wiersza. Opowiedziałem o Plejadzie, o ówczesnej Francji, o literaturze światowej. Ruchomy cień drzewa, lekki powiew wiatru, zmienny poszum liści stanowiły w sumie, razem z atmosferą słów Jimeneza, szczyt doskonałego, pełnego ciszy szczęścia. Mała opowieść o drobnych radościach życia wielkiego poety ukazywała mi wartość bytu dla jakiego miałem dotychczas raczej uśmiech pobłażania.

Odwróciłem kartkę jedną, drugą... Zainteresował mnie tytuł rozdziału „El loco" — słowo hiszpańskie łączące w sobie znaczenie „szalony" z pojęciem „wariat".

W stroju żałobnym, z moją brodą pokutnika i w małym czarnym kapeluszu, muszę dziwnie wyglądać, usadowiony na szarej miękkości grzbietu kroczącego Platero.

Gdy, przejeżdżając wzdłuż winnic, skręcam w ostatnie, wapienno białe w świetle słonecznym uliczki, małe Cyganiątka, brudne i owłosione ponad miarę, nie mieszczące się w swych zielonych, czerwonych i żółtych łachmanach, biegną za mną i za osłem, naprężając opalone brzuchy, wrzeszcząc bez przerwy:

— Wariat! Wariat! Wariat!

Potem już zielone pole. Naprzeciw nieba ogromnego i czystego o kolorze przepalonego indygo, oczy moje — tak nie związane z wrażeniami mego słuchu — otwierają się, uszlachetnione, przyjmując w ciszy ową niezmierzoność bez nazwy, owo uspokojenie harmonijne i boskie, które żyje w nieskończoności widnokręgu...

I pozostają gdzieś daleko po wysokich poletkach ostatnie przenikliwe krzyki, poszarpane i pełne zadyszenia, zakłopotane i znużone sobą, ucieszając się zwolna:

— Wa...riat! Wa...riat!

Najszlachetniejszy rodzaj humanizmu bijący z tych słów musiał, rzecz prosta, znaleźć odzew w siedzącym obok mnie tragarzu, którego całe życie było podobnie piękną próbą wydobywania się z pospolitości na wyżynę „uspokojenia harmonijnego i boskiego", żyjących w nieskończonościach odsłanianych nad książkami widnokręgów.

Gdyśmy, nagleni czasem, wstali spod platana, tragarz rzekł do mnie ze znanym mi już dziecięco-chytrym uśmieszkiem:

— Gdyby señor kiedy przyjechał do Salamanki i potrzebował tragarza, zechce señor łaskawie pamiętać że moje nazwisko również brzmi Jimenez. Don Juan Ramón jest moim kuzynem.

Siedząc w przedziale i spoglądając na kamienny pejzaż „sierry", powracałem myślą do pochylonej nad wózkiem postaci starego człowieka. Tradycja obowiązuje, myślałem, w mieście które pierwsze, wbrew istniejącemu na całym świecie potępieniu, wprowadziło nauczanie, jako słusznej, doktryny Kopernika o obrocie ciał niebieskich.

Mieszysław Lurczyński.

LECH PASZKOWSKI

Emigranci pochodzenia polskiego w Australii

BROJNOWSKI*)

Jednym z wybitniejszych emigrantów polskich w Australii był Gracjusz Józef Brojnowski. Urodził się 7 marca 1837 w Wieluniu. Rodzina jego należała do zamożnego miejscowego ziemiaństwa. Po kilku latach kształcenia domowego wysłano młodzieńca na studia uniwersyteckie do Monachium, gdzie chodził na wykłady nauk ścisłych, języków i malarstwa.

UCIECZKA PRZED BRANKĄ

W r. 1854 Gracjusz przyjechał do domu na wakcje. W tym czasie ogłoszono brankę młodych Polaków w wieku lat 17 do 25 z powiatu wieluńskiego. Brojnowski znalazł się na liście przyszłych rekrutów, ale w jego mniemaniu pójście „w sołdaty" równało się zmarnowaniu życia, toteż nie zgłosił się na wezwanie. Pewnej nocy dom został otoczony wojskiem. Wuj Gracjusza obudził swego siostrzeńca, i szybko spuszczono go po sznurze w ciemne zarośla ogrodu. Czekał tam wierny służący, który przeprowadził młodzieniaszka do rzeki Prosny i pomógł w przepłynięciu na niemiecką stronę. Tam się pożegnali, i 17-letni Gracjusz udał się w drogę do Hamburga.

Brojnowski powziął zamiar wyjazdu do Ameryki, ale w przeddzień odpłynięcia statku okradł go pewien Niemiec, pozujący na przyjaciela. Łatwowierny Polak został tylko w ubraniu, które miał na sobie. W Hamburgu spotkał rodaka, z którym się zaprzyjaźnił. Obaj wzięli się do pracy fizycznej i zarobili na przejazd do Londynu. W Anglii udało im się otrzymać lekcje francuskiego i z tego żyli prawie przez rok.

NA MORZU I STEPIE

Brojnowski, nasłuchawszy się w Londynie o złotodajnej Australii, zaciągnął się na żaglowiec płynący do Victorii. Podróż naokoło przylądka Horn i przez ocean Spokojny nie należała w tych latach do łatwych wypraw i trwała pół roku. Na statku tym młody Polak otrzymał twardą szkołę. Oficerowie i załoga dokuczali cudzoziemcowi o dziwacznym nazwisku. Wyrzucono go z kabiny i musiał spać w łodzi ratunkowej. Co rano oficer przechylał łódź i młodzieniec wypadał na pokład, tłukąc się i kalecząc.

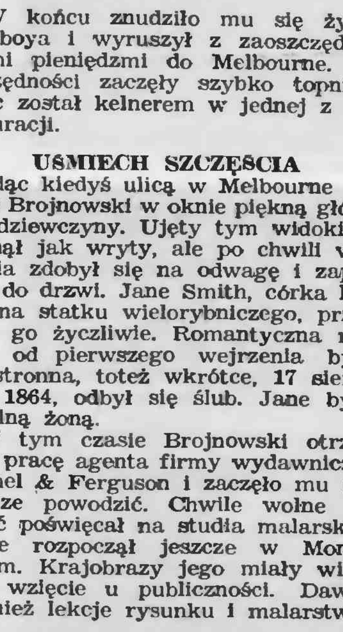
Gdy statek zawinął do Portland w Victorii, Brojnowskiemu zakazano udania się na ląd. Ale miał już dosyć życia wśród sadystycznej załogi: o świcie zsunął się cichaczem po linie w morze i wpław dostał się na brzeg. Ominął śpiące miasteczko i poszedł w głąb lądu. Dopiero pragnienie zmusiło go do zapukania do drzwi małej, pionierskiej chatki. Tu doznał pierwszego gościnnego przyjęcia na australijskiej ziemi. Stara Szkotka, która mieszkała w tym domku, nakarmiła go czym miała i nie poskąpiła słów otuchy.

Brojnowski rozpoczął pracę na farmie jako owczarz, a później został „stockman"em od ujeżdżania koni i



Gracjan Brojnowski

dozorcą bydła. Przez trzy lata wędrował z farmy na farmę. Podczas tej wędrówki spotkał znanego poetę australijskiego A. L. Gordona, z którym zaprzyjaźnił się i dzielił jakiś czas wspólne losy włóczęgi.



THE

BIRDS OF AUSTRALIA,

THREE HUNDRED FULL-PAGE ILLUSTRATIONS

WITH

A DESCRIPTIVE ACCOUNT OF THE LIFE AND CHARACTERISTIC HABITS

OF

OVER SEVEN HUNDRED SPECIES

BY

GRACIUS J. BROINOWSKI.

VOL. I

PUBLISHED BY CHARLES STUART & CO

1890

Karta tytułowa dzieła „Ptaki Australii"

W końcu znudziło mu się życie cowboya i wyruszył z zaoszczędzonymi pieniędzmi do Melbourne. Oszczędności zaczęły szybko topnieć, więc został kelnerem w jednej z restauracji.

UŚMIECH SZCZĘŚCIA

Idąc kiedyś ulicą w Melbourne ujrzał Brojnowski w oknie piękną główkę dziewczyny. Ujęty tym widokiem stanął jak wryty, ale po chwili wahania zdobył się na odwagę i zapukał do drzwi. Jane Smith, córka kapitana statku wielorybniczego, przyjęła go życzliwie. Romantyczna miłość od pierwszego wejrzenia była obustronna, toteż wkrótce, 17 sierpnia 1864, odbył się ślub. Jane była idealną żoną.

W tym czasie Brojnowski otrzymał pracę agenta firmy wydawniczej Hamel & Ferguson i zaczęło mu się dobrze powodzić. Chwile wolne od zajęć poświęcał na studia malarskie, które rozpoczął jeszcze w Monachium. Krajobrazy jego miały wielkie wzięcie u publiczności. Dawał również lekcje rysunku i malarstwa.

PALETA I KSIĄŻKA

Pierwszą pracą jaką wydał Brojnowski drukiem była kopia sztychu holenderskiego artysty Hollara z r. 1647, przedstawiająca panoramę Londynu przed wielkim pożarem. Publikację tę p.t. „Panoramic View of London" zaopatrzył artysta interesującą przedmową. Wystąpił pod pseudonimem G. J. Browne.

Około r. 1880 Brojnowski zmienił pisownię swego nazwiska chcąc utrzymać poprawne brzmienie zastąpił j na i. W tym też czasie zdecydował się wyjechać do Sydney, gdzie miał lepsze perspektywy sprzedaży obrazów oraz nauczania. Początkowo wyruszył sam i zamieszkał razem z młodzieńcem o nazwisku Edmund Barton, który w 20 lat później został pierwszym premierem australijskiej federacji, potem sprowadził rodzinę. Wykładał w kilku gimnazjach oraz miał wielu uczniów na prywatnych kompletach. Był też bardzo czynnym członkiem Royal Art Society of New South Wales. Wygłaszał również liczne odczyty na tematy związane ze sztuką. Niestety, najlepsze jego obrazy zostały zniszczone w czasie pożaru.

W tym okresie otrzymał zamówienie od departamentu oświaty Nowej Południowej Walii na cykl plansz dla szkół p.t. „Birds and Mammals of Australia". Cykl ten wyszedł później w formie książki, ale w bardzo ograniczonym nakładzie.

Drugą książką Broinowskiego była „Birds of Australia", wspaniałe dzieło w sześciu tomach in folio. Składa się na nie 300 plansz odbitych chromolitograficznie i kolorowanych ręcznie, dających wizerunki przeszło 700 ptaków australijskich wraz z krótkimi opisami.

Broinowski napisał również powieść p.t. „Orliczka"; pozostała w rękopisie.

Trzeba też podkreślić że ustawy, jakie wydał rząd Nowej Południowej Walii mające na celu ochronę ptaków i zwierząt były w znacznej mierze rezultatem wysiłków Broinowskiego. Również rozszerzenie programu nauki przyrody i zoologii w tamtejszych szkołach trzeba przypisać jego staraniom.

DOM I RODZINA

W r. 1890 Broinowski przeniósł się wraz z rodziną na farmę do Campbelltown, 34 mile od Sydney. Pracował tam ze swymi synami przez sześć lat, ale nie miał widocznie zdolności w tym kierunku, bo gospodarstwo po tylu latach pracy dawało wciąż deficyty. Przeniósł się z powrotem do Sydney, gdzie wrócił do malarstwa i nauczania rysunków; zaczął również pisać artykuły do czasopism.

Pod koniec życia miał zamiar wydać drugi, popularny nakład książki „Birds of Australia". Marzył również aby zobaczyć jeszcze Polskę. Pragnienia te nie spełniły się; zmarł w Sydney 12 kwietnia 1913.

Każdy Polak, który się znalazł w Sydney, spotykał się z pomocą Broinowskiego: nazywano go „opatrznością polskich tułaczy".

Broinowski zostawił 6 synów i córkę (siódmy syn zmarł jako małe dziecko). Wszystkim dał wykształcenie i wszyscy zajęli wybitne stanowiska: Gracius-Herbert był znanym lekarzem i tytularnym kapitanem armii australijskiej; Leopold — redaktorem dziennika „Mercury" (Hobart) oraz autorem książki p.t. „Tasmania's War Record 1914-1918"; Felix — naczelnym kreślarzem w departamencie spraw wewnętrznych w Canberrze (rysował pierwsze plany przyszłej stolicy); Robert — sekretarzem senatu federalnego; Harold-Xavier zajmował wysokie stanowiska w przemyśle a Stefan w departamencie kolejnictwa. Rodzina Broinowskich jest znana i szanowana w Australii. Nazwiska nie zmienili.

* * *

Dzięki inicjatywie ś.p. Sylwestra Gruszki oraz pomocy p. Bruno Kurnatowskiego miałem możność oparcia niniejszego artykułu m.in. na relacjach syna Gracjusza, Roberta, który liczy obecnie 80 lat.

Lech Paszkowski.

*) por. „Blandowski" w nr. 547, „Mr. Jules-Czetwertynski" w nr. 571 i „Dr Lhotsky" w nr. 580 „Wiadomości".

KAZIMIERZ SMOGORZEWSKI

GRANICA MIĘDZY GWDĄ A WISŁĄ

Erich Sandow, autor rzeczowej i solidnie opracowanej rozprawy o granicy polsko-pomorskiej w XIII i XVI wi*), nie ukrywa że niemal nazajutrz po usadowieniu się w ziemi chełmińskiej zakon krzyżacki zaczął myśleć o terytorialnym dostępie do ziem cesarstwa niemieckiego, czyli o zdobyciu Pomorza gdańskiego, będącego wówczas we władaniu wschodniej linii książąt pomorskich. Walczył z krzyżakami Świętopełk gdański, ale był w tej walce odosobniony wobec przymierza książąt mazowieckiego i kujawskiego z „latrones cruce signati" (jak ich później nazwał Długosz). Musiał tedy Świętopełk zawrzeć z krzyżakami pokój (1242), oddając im nie tylko znaczne części swych włości na wschodnim brzegu Wisły, ale także gród „Sartowitz" na brzegu zachodnim. W sześć lat później granica między państwem krzyżackim a księstwem gdańsko-pomorskim (zwanym przez Niemców Pommerellen) biegła wzdłuż dolnej Wisły od Wyszogrodu aż po Zantyr, w rozwidleniu Wisły i Nogatu.

W r. 1282, syn Świętopełka Mściwój musiał się pogodzić z wyrokiem sądu papieskiego, na mocy którego krzyżacy usadowili się w Gniewie, na zachodnim brzegu Wisły. Jak stwierdza Sandow, „Gniew, po wygaśnięciu domu książęcego, miał się stać odskocznią do zdobycia pozostałego Pomorza". Dodać tu należy że w tym samym roku Mściwój, przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, przekazał całe Pomorze gdańskie Przemysławowi II, księciu wielkopolskiemu. Po zamordowaniu Przemysława w 1296, księciem wielkopolsko-kujawskim został Władysław Łokietek, który ogłosił się także księciem pomorskim. W r. 1300 królem Polski został Wacław II czeski i objął Pomorze w posiadanie. Po śmierci Wacława II (1305) tytuł króla Polski odziedziczył jego syn Wacław III, w rok później zamordowany. Łokietek zaraz wznowił swe prawa do korony polskiej wraz z Pomorzem.

„W r. 1308 — pisze Sandow — musiał Zakon w imieniu Polski bronić Gdańska przeciw Brandenburczykom"... W istocie rzeczy sprawa wyglądała nieco inaczej. Od r. 1296 zarząd Pomorza gdańskiego sprawowała rodzina Święców. W r. 1307 zawarli oni przeciw Łokietkowi układ z Brandenburgią; oddali jej Pomorze, zastrzegając dla siebie dziedziczną kasztelanię w Słupsku. Margrabiowie Waldemar i Otton zajęli miasto Gdańsk, ale nie zdobyli grodu, bronionego przez Łokietkowego namiestnika Boguszę. Nie mogąc się doczekać polskiej odsieczy, Bogusza niebacznie zwrócił się o pomoc do krzyżaków. Ci wyparli Brandenburczyków z Gdańska, usunęli załogę polską z grodu, po czym 14 listopada 1308 wymordowali 10.000 ludności polskiej Gdańska i Tczewa. Tę cyfrę ofiar podaje historyk gdański Gotthilf Löschin („Geschichte Danzigs", 1822). Generał niemiecki Gustav Köhler nazywa tę rzeź „ein Stück mongolischer Kriegsführung", wyjaśniając że Zakon, który nie miał dostatecznej siły zbrojnej, musiał stosować metody Dżengis-chana („Geschichte der Festungen Danzig und Weichselmünde", 1893). Sandow zaopatrzył swą rozprawę aż w 396 źródłowych przypisów; szkoda że nie przytoczył cytatów z Löschina i Köhlera.

Rozbójnicze państwo krzyżackie wytargowało od Brandenburgii jej rzekome prawa do wschodniego Pomorza, po czym uzyskało od cesarza Henryka VII uznanie swego stanu posiadania. Tymczasem Łokietek zjednoczył Polskę i koronował się na króla w r. 1320, bynajmniej nie uważając sprawy Pomorza za zamkniętą. Ponieważ Zakon podlegał bezpośrednio papieżowi, Łokietek domagał się od Kurii (wówczas urzędującej w Awinionie) aby zmusiła krzyżaków do zwrotu podstępnie zagrabionego Pomorza. Papież Klemens V, w bulli z 19 czerwca 1310, pisał że słyszał jakoby krzyżacy, zdobywając Gdańsk „zabili 10.000 ludzi, w tym także dzieci" (tę bullę Sandow cytuje). Doszło wreszcie do procesu, i w r. 1321 zapadł w Inowrocławiu wyrok skazujący krzyżaków na zwrot Pomorza Polsce. Zakon jednak wyroku nie uznał i założył apelację do Kurii. Zaabsorbowany wojną z Brandenburgią, Łokietek dopiero w r. 1329 postanowił Pomorze odebrać siłą. Bitwa pod Płowcami (27 września 1331), aczkolwiek zwycięska, nie była decydująca, wojna zakończyła się rozejmem.

Łokietek umarł w dwa lata później, a na tron polski wstąpił jego syn Kazimierz, później przezwany Wielkim. Zamiast wojować, procesował się dalej z Zakonem o Pomorze, tudzież o zajęte tymczasem Dobrzyń i Kujawy. Ta dyplomatyczna walka zakończyła się polsko-krzyżackim „pokojem wieczystym" podpisanym w Kaliszu (8 lipca 1343); Kazimierz odzyskał Dobrzyń, Kujawy, Bydgoszcz i Wyszogród, ale w zamian — jak twierdzi Sandow — zrezygnował z Pomorza i z tytułu jego księcia („endgültig auf Pommerellen und den Titel Herzog von Pommerellen verzichtete"). Tak nie było, albowiem Kazimierz nadal używał tytułu „Pomoraniae dominus et haeres", np. w r. 1347 gdy nadawał statut wiślicki (patrz „Volumina legum"). Sandow zapomina również że w traktacie kaliskim Zakon musiał uznać w królu polskim swego „fundatora", co w razie naruszenia przez krzyżaków pokoju miało w przyszłości umożliwić odzyskanie Pomorza, z którego Polska bynajmniej nie rezygnowała.

Na razie przecież ustalono granicę między Wielkopolską i Kujawami z jednej strony a Pomorzem z drugiej (w Trzęsaczu 4 i 24 czerwca 1349). Autor podaje łacińskie teksty, wytyczające granicę która biegła między Gwdą (Küddow) a Wisłą, po czym lirycznie dodaje, że przetrwała ona do r. 1918! Posuwa się także do twierdzenia że granica ta była „niewątpliwie także granicą narodowościową i językową". To że granica ta stanowiła w r. 1918 odcinek granicy administracyjnej między prowincjami poznańską a zachodniopruską jest ciekawostką bez znaczenia politycznego. A twierdzenia jakoby Pomorzanie gdańscy nie byli Polakami, jakoby język kaszubski był daleki od polskiego — są mocno naciągane. Polskie było serce Mściwoja, który — wiedząc że umrze bezpotomnie — oddał swe księstwo Przemysławowi. Na nic się też Sandowowi nie przyda cytowanie prof. Kazimierza Nitscha, bo Nitsch stwierdził wyraźnie że narzecze kaszubskie jest równie polskie jak polskie są narzecza kujawskie czy mazurskie (patrz jego artykuł w t. III „Encyklopedii polskiej").

W drugiej części swej rozprawy autor przechodzi do okresu Władysława Jagiełły, słusznie podnosząc że poza unią Litwy z Polską głównym celem jego polityki było odzyskanie „ziem nad dolną Wisłą". Prześlizguje się szybko nad grunwaldzkim pogromem krzyżaków. To prawda że to wielkie zwycięstwo wojskowe nie dało spodziewanych owoców politycznych. Pierwszy pokój toruński (1 lutego 1411) — zdaniem Długosza „szpetny i szkodliwy" — zostawił Pomorze w krzyżackim posiadaniu, ale Jagiełło — jak i jego piastowscy poprzednicy — nadal się tytułował „Pomoraniae dominus et haeres". Z pomocą krzyżakom przyszedł cesarz Zygmunt Luxemburski. Pokój z nim zawarł Jagiełło w Lubowli (13 marca 1412), przy czym Luxemburczyk narzucił się jako pośrednik między Polską a Zakonem. Aczkolwiek Zygmunt zatwierdził pokój toruński, „domaganie się zwrotu Pomorza — pisze Sandow — w Polsce nie ucichło". Czego nie zdołał urzeczywistnić Władysław Jagiełło, tego dokonał jego syn Kazimierz Jagiellończyk. Na Pomorzu gdańskim, teraz Prusami zwanym, wybuchło przeciw Zakonowi powstanie. Polska wypowiedziała krzyżakom wojnę a Kazimierz, powołując się na nieprzedawnione prawa korony polskiej 6 marca 1454 podpisał akt wcielający Prusy do Polski.

Na tej dacie kończy Sandow swą pracę bez żadnych wniosków. Nie wiadomo właściwie po co ją napisał. Chyba nie z myślą zaktualizowania linii z r. 1349?

Właściwym zamknięciem tego okresu był przecież nie r. 1454 ale drugi pokój toruński (19 października 1466). Wróciło do Polski Pomorze z Gdańskiem. Ale pod naciskiem cesarza Fryderyka III Habsburga oraz papieży Kaliksta IV, Piusa II i Pawła II (wszyscy zasiadali kolejno na Stolicy Apostolskiej czasu wojny trzynastoletniej) Zakon uratowano od pełnej zagłady. Z górą trzy wieki później srodze się to na Polsce zemściło. Ale któż w r. 1466 był w stanie przewidzieć r. 1772!

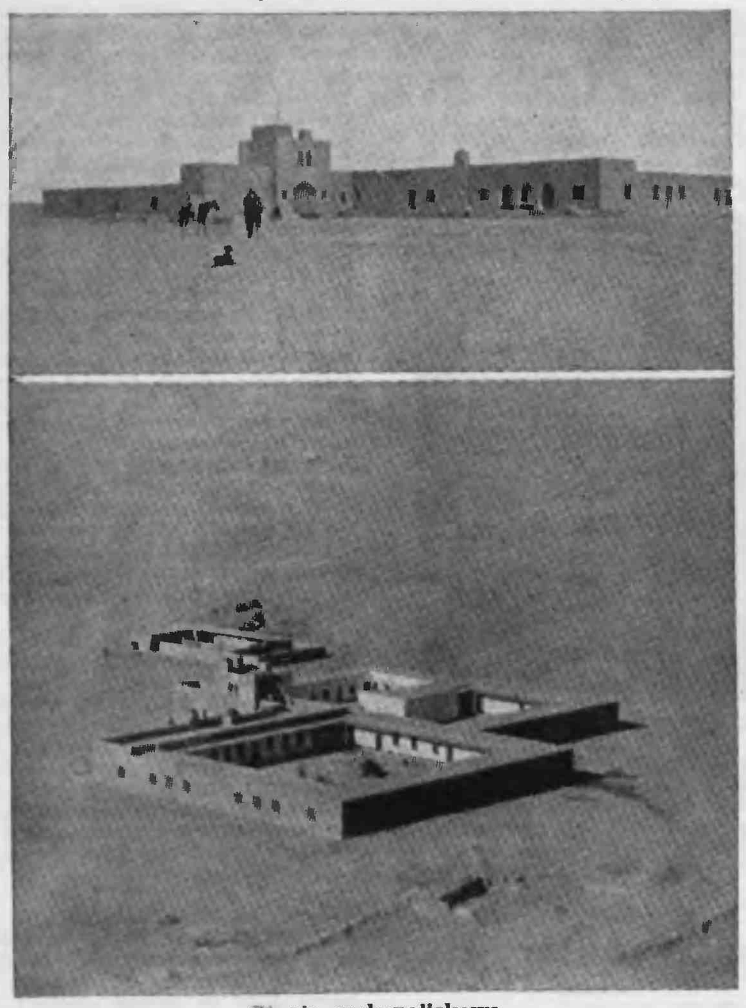
Kazimierz Smogorzewski.

*) Beihefte zum Jahrbuch der Albertus-Universität Königsberg/Pr. VI. **Erich Sandow**. Die polnish-pommerellische Grenze 1309-1454. Kitzingen-Main, Holzner, 1954; str. V i 1nl. i 67 i 1nl. i 4bbl. i tabl. 1.

Puszka

TAJEMNICE ESZUNNY

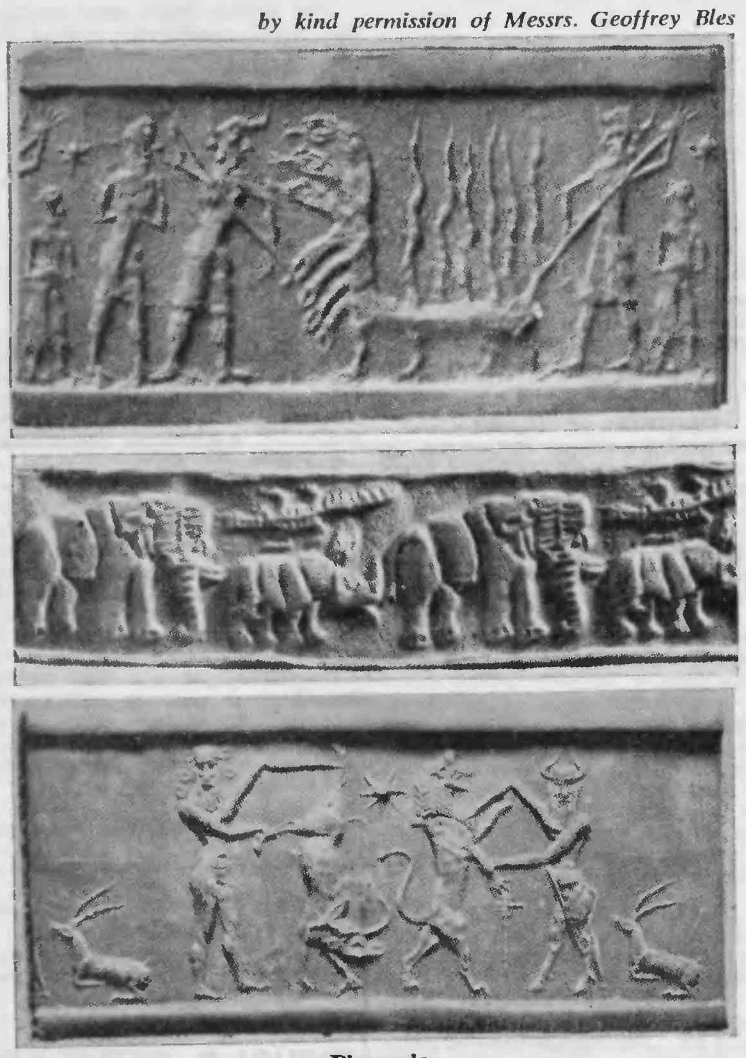
by kind permission of Messrs. Geoffrey Bles



Stacja wykopaliskowa

Tematy archeologiczne są dziś równie popularne jak romanse kryminalna; zapewne dlatego mnożą się teraz książki na pograniczu opowieści awanturniczych i archeologicznych. Zdarza się że nie są bez wartości.

by kind permission of Messrs. Geoffrey Bles



Pieczęcie

Książka Mary Chubb*) ma swój wdzięk i swoje dobre strony. Wdzięk jej polega na tym że autorka zachowuje do końca ton skromny, nie sili się na naukowe określenia i nie przybiera postawy która by miała olśnić czytelnika. Mary Chubb jest sekretarką i udało jej się, zamiast posady w tym czy innym londyńskim biurze handlowym, dostać posadę związaną z pracami archeologicznymi na Bliskim Wschodzie. Pisze o tym prosto i jasno, nie uzurpując sobie fachowej znajomości. Natomiast widzi drobiazgi i rzeczy, na które być może nie zwróciłby uwagi prawdziwy archeolog a które dla czytelnika są interesujące, bo pokazują prace archeologiczne nie od strony zagadnień historycznych, lecz — aktualnych, życiowych. Ma też jeszcze jedną miłą cechę — zdumienie, kiedy dotyka przedmiotów sprzed kilku tysięcy lat, kiedy rozsnuwa się przed nią wizja życia dawno minionego, miast i przedmiotów, od tysiącleci zasypanych piachem pustynnym. Dla zawodowego archeologa są to sprawy codzienne, same przez się zrozumiałe, sekretarka ulega uczuciu podziwu i olśnienia. Tak jak czytelnik.

Zaczęło się, jak zwykle, od przypadku. Przyszedł Arab, pokazał znalezioną tabliczkę, podał miejsce gdzie ją znalazł, w samym sercu mezopotamskiej pustyni. Działo się w Bagdadzie, w muzeum starożytności; dyrektor strzepnął kurz z zapisanej klinowym pismem cegiełki i odczytał napis: „Potężny król Ibik-Adad, Budowniczy Eszunny, umiłowany przez boga Tiszpak, syn Ibalpela". O Eszunnie wiedziano że istniała, nie wiedziano dokładnie gdzie, prof. Breasted z chicagoskiego uniwersytetu zainteresował się sprawą, postanowił włączyć Tell Asmar (tell znaczy po arabsku wzgórze), miejsce znalezienia cegiełki, do przedsięwziętych prac archeologicznych na Bliskim Wschodzie. Potrzebne na to były miliony, ale w Ameryce nikt się nad milionami nie zastanawia.

Jak zaczynają się prace wykopaliskowe na pustyni? Oto niezmierzona przestrzeń piachu, niebo nad nią i mały płaszczysty wzgórek. Poza tym nic. Kto ma zacząć kopać? Kto ma ułożyć plan robót? Skąd mają się zjawić robotnicy do kopania? A przede wszystkim: gdzie znaleźć wodę? Albowiem wszystko na pustyni zaczyna się od poszukiwania wody. Znaleziono ją tak głęboko i tak zamuloną że nie nadawała się do picia. Amerykanie się nie przerazili. Wodę do picia, wraz z piwem, postanowiono przywozić codziennie ciężarówkami z Bagdadu. Po czym zabrano się do budowania stacji wykopaliskowej czyli do budowania domu dla pracowników. Trwało rok nim stanął ów wielki i wielopodwórzowy budynek, jak gdyby hotel o wielu pokojach, o wielu pracowniach. Po trzech tysiącach lat pierwszy ślad życia na pustyni. To wszystko zrobiono nim jeszcze zaczęto kopać, nim było wiadome czy ogromne koszta i trudy się opłacą. Na wysokiej wieży zapalono ognisko, które miało wskazywać drogę do stacji wykopaliskowej. Na krańcach bezmiernego widnokręgu zaczęły pokazywać się małe ciemne punkciki, Arabowie którzy szli całymi milami, by zaofiarować swoją pracę i osiągnąć „wielkie bogactwa". Starsi robotnicy i mali chłopcy przychodzili odziani w strzępy. Przynosili ze sobą zapasy na dwa tygodnie, potem wracali do swoich wsi, by znowu zaopatrzyć się w ryż i cebulę. Wokół stacji powstała cała kolonia jam ziemnych, miejsce zamieszkania robotników. Pewnego dnia samochody ciężarowe zwiozły inny typ robotników, t.zw. szergatów; byli to także Arabowie, także analfabeci, ale kopacze już wyrobieni, którzy potrafią wyczuć linię muru i podłogi, nie uszkodzić najmniejszego znalezionego przedmiotu.

Powoli odsłaniała się Eszunna. Wiadomo było o niej z tabliczek z pismem klinowym, wykopanych poprzednio w innych miejscach, szczególnie w Ur. Niesłychany zmysł historyczny Sumeryjczyków kazał im każde zdarzenie uznane za ważne notować na cegiełkach glinianych, każdy stawiany budynek zaopatrzyć w glinianą „metrykę" i każde zwycięstwo nad wrogiem uwiecznić pismem. Napisy i zapiski okazują się nieomylne, są jak drogowskazy na przestrzeni tysiącleci i na ogromnych zasypanych piaskiem obszarach. Dzięki nim można dokładnie zestawić dane historyczne jednego z najpierwszych państw na kuli ziemskiej.

Nie wiadomo dokładnie skąd przyszli Sumeryjczycy, wiadomo tylko że osiedla sumeryjskie na żyznym skrawku ziemi wzdłuż Eufratu i Tygrysu zaczęły powstawać już w okresie kamiennym. Zrazu osiedleńcy ograniczali się do brzegów rzek, ale wkrótce nauczyli się skierowywać wodę kanałami na miejsca bezwodne. Rozpoczęła się wspólna praca szczepów nad kanałami i ich utrzymywaniem i zaczęły się — wojny między osiedlami. Eszunna należała do wczesnych osiedli. Położona na wschód od Tygrysu, zamieniła się wkrótce, na wzór innych osiedli, w warownię. Wokoło miasta stał wysoki mur obronny, a raczej ten mur zamienił osiedle w miasto. Drzewa w Mezopotamii nie było, więc i domy i mury obronne były z cegły lepionej z błota i suszonej na słońcu. Tę żyzną równinę wzdłuż rzek Biblia nazywa Szinar. Takich miast niezależnych było wiele, i takie też było państwo sumeryjskie. Niektóre z nich potrafiły wyrobić sobie stanowisko kierownicze, zawojowawszy pobliskie lub dalsze osiedla. W ten sposób Eszunna znalazła się pod wpływami słynnego miasta Ur, ale było to jeszcze na tysiąclecia przed okresem, w którym jakoby mieszkał w Ur praojciec żydowski, Abraham. Sumeryjczycy nie byli Semitami. Eszunna wraz z Ur lojalnie walczyła przeciw podbojom semickim i wraz z Ur została podbita przez Akkad (stąd nazwa „Sumeria i Akkad") i wcielona do akkadyjskiego państwa Sargona. W końcu Sumeryjczycy i wraz z nimi Eszunna wywalczyli sobie niepodległość. Nie na długo. Zaledwie zagospodarowali się po długiej niewoli, gdy zjawił się wielki starobabiloński zdobywca: Hammurabi. Eszunnę podbito i spalono.

Była to wielka chwila w pracach wykopaliskowych, gdy w miejscu starannie obliczonym przez kierownika prac zaczęły wyłaniać się ślady pożaru na pobielanym murze. Wielojęzyczna i wielonarodowa załoga kierownicza stała koło „szergatów" z zapartym oddechem. Nie jest łatwo odnaleźć warstwę wykopaliskową odpowiadającą określonemu okresowi.

by kind permission of Messrs. Geoffrey Bles



Wykopana rzeźba

Ślady pożaru odnaleziono na pewnej głębokości i ustalono że mury są pozostałością pałacu królewskiego. Ale wszystko co znajdowało się obok murów pałacowych pochodziło z całkiem innego okresu. Bo były to domy zwykłych obywateli, pod którymi nie wyrównano tak starannie podstawy, jak pod budowę pałacu. Zapadały się tam mury różnych okresów, mieszały się ślady historyczne. Znalezienie spalonego pałacu było dziełem nie byle jakiej intuicji archeologicznej.

Najważniejszą pomocą w datowaniu i określaniu stylu epoki są pieczęcie. Najbardziej wymowne pod tym względem są pieczęcie figuralne, na ogół zresztą starsze od pieczęci z napisami w piśmie klinowym. Mnóstwo tych pieczęci pochodzących z najróżnorodniejszych okresów od r. 3000 do r. 500 przed Chr. znajdowano w różnych miejscach wykopaliska. Raz udało się nawet znaleźć narzędzia ich wykonania. Pieczęcie miały formę wałków. Przez środek wałka przechodził pręt. Była to zatem pieczęć ruchoma, „wałkowana" po powierzchni miękkiej gliny i pozostawiająca na niej odbicie swej rzeźbionej powierzchni. Pieczętowano osobistą własność, więc gliniane słoje i inne przedmioty. Noszono te pieczęcie zawieszone na szyi, na przegubie dłoni. Niekiedy były one rzeźbione ze szlachetnego materiału, jak „lapis lazuli". Najważniejszą ich wartością dla badaczy jest styl rzeźb, bo pozwala na dopełnienie obrazu sztuki, niezbyt bogato reprezentowanej w znaleziskach. Niekiedy można także wnosić o kontaktach handlowych i kulturalnych, jak np. z pieczęci o wizerunkach słoni których nie było w Mezopotamii a których było wiele nad Indusem. Niewątpliwie znalezienie pieczęci ze słoniami wskazuje na kontakt z Indiami.

Zdarzały się w Tell Asmar znaleziska jeszcze bardziej wymowne, wskazujące na poziom kultury w tym odległym okresie na pograniczu epoki kamiennej i brązowej. Niemałe zdumienie wywołały gliniane rury odpływowe z łazienek, klozetów pałacowych, jeszcze większe — rezerwuary klozetowe na wodę z pływakami zupełnie w dzisiejszym stylu. Pod podłogą — prawdopodobnie ukrytą w czasie walk o niepodległość Eszunny — znaleziono biżuterię z lapis lazuli i srebra, delikatnie rzeźbioną, orły z lwią głową, symbol boga płodności.

Z okresu około r 3000 przed Chr. pochodzą nagromadzone (schowane w jednym miejscu) rzeźby wielkiego formatu, zdumiewające swą ekspresją.

Kiedy zaczęły się badania nad klasyczną sztuką grecką, zdawała się ona istnym cudem spadłym z nieba. Nie wiedziano co ją poprzedzało, badania w Egipcie potwierdzały raczej jej niezrównaną odrębność. Wykopaliska archeologiczne w Mezopotamii stawiają te sprawy w zupełnie innym świetle. Nie zaprzeczają ani wielkości i wpływowi na Grecję sztuki egipskiej; nie zaprzeczają geniuszowi czysto greckiemu; ale wskazują na tysiąclecia rozwoju artystycznego, poprzedzającego wybuch klasycznej sztuki greckiej. Wydaje się że ta bardzo wczesna sztuka mezopotamska miała charakter magiczny, ekspresyjny, nie była tak formalnie opanowana jak sztuka egipska, i wydaje się że właśnie z połączenia tej sztuki bardziej ekspresyjnej i formalnie (geometrycznie), wystylizowanej (te dwa kierunki sztuki powtarzają się potem we wpływach kreteńsko-mykeńskich i doryckich) narodziła się niezrównana harmonia grecka. Trzeba było na to tysiącleci rozwoju. Interesujące jest stwierdzić powtarzanie się pewnych tematów: starobabiloński epos Gilgamesz jest analogiczny do historii potopu i Noego, a tematy niektórych rzeźb znalezionych w Eszunnie są pierwowzorem greckiej legendy o pracach Heraklesa. Snują się te (i wiele innych) tematy przez tysiąclecia, powtarzane w różnych punktach ziemi i w różnych okresach.

Książka Mary Chubb kończy się w stylu podróżniczym. Wobec zbliżającego się lata i po przebyciu potwornej burzy piaskowej w Tell Asmar, towarzystwo archeologiczne opuszcza na kilka miesięcy Mezopotamię i w drodze powrotnej odwiedza Kretę by zobaczyć odkopany przez Evansa pałac Minosa. W czasie pieszych wędrówek na Krecie zdarza się podczas noclegu że miejscowy złodziejaszek kradnie stary kapelusz słomkowy panny Chubb. Archeolog z jej towarzystwa zwraca się do miejscowego społeczeństwa:

„Wasza wieś znana była na świecie z gościnności. Kiedy wrócę do mojej wsi, do Londynu, i opowiem, że w waszej wsi są złodzieje, moja wieś Londyn zmartwi się bardzo. Zwróćcie więc kapelusz!".

Kapelusz zwrócono.

Pandora.

*) City in the Sand by **Mary Chubb.** Londyn, Geoffrey Bles, 1957; str. IX i 3nl. i 209 i 3nl. i tabl. 10.

Pamiętniki gen. Rybaka

W związku z tajemniczą śmiercią gen. Włodzimierza Zagórskiego w r. 1926, krążyły w otoczeniu gen. Józefa Rybaka — który przed pierwszą wojną z ramienia władz austriackich utrzymywał kontakt z Piłsudskim i współpracował z nim w organizowaniu drużyn strzeleckich — pogłoski że chcąc uniknąć podobnego losu, złożył swoje rzekomo kompromitujące Piłsudskiego pamiętniki w jednym z banków w Szwajcarii, z tym iż w razie jego śmierci miały być natychmiast ogłoszone, i że tym sprytnym pociągnięciem osiągnął to że ci, co czyhali na jego życie, w obawie kompromitacji byli teraz sami najbardziej zainteresowani by mu się nic złego nie stało.

Pamiętniki te wydano po wojnie*), i jak się okazuje, nie zawierają one niczego co by mogło przynieść Piłsudskiemu ujmę.

Po aneksji Bośni i Hercegowiny stosunki między Austrią i Rosją uległy poważnemu zaostrzeniu, w związku z czym zwiększyły się również i zainteresowania austriackiego sztabu generalnego sprawami rosyjskimi, co z kolei pociągnęło za sobą zwiększenie zapotrzebowania na służbę wywiadowczą na terenie Kongresówki. Dla zorganizowania i kierowania tą nową służbą stworzono przy wszystkich trzech korpusach galicyjskich we Lwowie, Przemyślu i Krakowie specjalne placówki. Zadanie kierowników tych placówek polegało na nawiązaniu kontaktu z organizacjami działającymi po drugiej stronie kordonu by przy ich pomocy zorganizować wywiad a w razie wojny — dywersję.

Początkowo sprawy szły kulawo. W połowie maja 1909 zgłosił się do kpt. Rybaka, który stał na czele placówki krakowskiej, Walery Sławek. Po wstępnych rozmowach Sławek oświadczył że nie jest upoważniony do pobierania ostatecznych decyzji i że w następnych dniach zgłosi się ktoś z partii. W kilka dni później zjawił się Piłsudski. W przeciwieństwie do bardzo ugrzecznionego Sławka, — pisze Rybak, — Piłsudski zachowywał się z całą swobodą, oświadczając że właściwie już dawno nawiązał kontakt ze sztabem we Lwowie, gdzie kolega jego założył Związek Walki Czynnej, i że on sam utrzymuje bezpośredni kontakt ze sztabem w Wiedniu; dał w ten sposób do zrozumienia że właściwie rozmawia z Rybakiem tylko ze względów grzecznościowych, bo ułożył już wszystko w Wiedniu z takimi, którzy stoją wyżej od niego. Widać było że Piłsudski od pierwszego spotkania dążył do podkreślenia swojej niezależności. O perspektywach współpracy mówił ogólnikowo.

W kilka tygodni później Piłsudski zjawił się po raz drugi, tym razem już z konkretną propozycją zalegalizowania na terenie korpusu krakowskiego organizacji strzeleckiej, której członkowie, podobnie jak członkowie Walki Czynnej we Lwowie, mogliby szkolić się w strzelaniu z udzielonej im broni na strzelnicach wojskowych. Rybak chętnie na to przystał, i za jego pośrednictwem Piłsudski uzyskał niebawem pozwolenie. Wkrótce potem zjawiły się na ulicach Krakowa mundury strzeleckie, na Woli Justowskiej strzelano do tarczy, na Błoniach ćwiczyły patrole. Niebawem, obok Związku Strzeleckiego Piłsudskiego, zaczęli ćwiczyć się w strzelaniu i ludowcy Witosa, tworząc Drużyny Bartoszowe, oraz Sokół, który dotychczas uprawiał tylko gimnastykę. Można było powiedzieć że zapanowała powszechna moda na organizacje strzeleckie. Współpraca między Piłsudskim a Rybakiem zacieśniała się coraz bardziej.

Po aresztowaniu Sławka przez władze austriackie, w toku rozmów z Piłsudskim Rybak uświadomił sobie że nawet w miastach i ośrodkach fabrycznych siły P.P.S. Frakcji Rewolucyjnej, do której Piłsudski należał, są bardzo nikłe, zasoby zaś ludzkie i materialne prawie żadne, i tracąc wiarę w możliwość urzeczywistnienia planów dywersyjnych na większą skalę, znacznie ochłonął. Piłsudski w lot się zorientował w zmienionej sytuacji i chcąc przekonać Rybaka że jednak posiada poważne siły w Kongresówce, czym prędzej sprowadził stamtąd Aleksandra Prystora, który miał złożyć nowe dowody żywotności partii. Niewiele to pomogło; w latach 1910-1912 kontakty między Piłsudskim i ośrodkiem wywiadowczym Rybaka jeszcze bardziej osłabły.

Pod spokojną na pozór powłoką tych lat toczyła się jednak w ukryciu zacięta walka między wywiadem austriackim i rosyjskim. Różni konfidenci starali się przeniknąć do Strzelca i Drużyn Bartoszowych prowadząc tam wywiad na rzecz Rosji. Chcąc się przed nimi obronić, Piłsudski coraz częściej donosił o różnych obcych i podejrzanych ludziach, którzy kręcili się dokoła „Strzelca" w obozach letnich i t.d. W ten sposób związki strzeleckie zorganizowały samorzutnie we własnej obronie kontrwywiad, który z czasem zaczął oddawać bardzo poważne usługi. W zamian za te usługi, Rybak ze swej strony ułatwiał organizowanie kursów, szkół oficerskich i obozów letnich, które polegały na tym że pewna grupa strzelców jechała na głęboką wieś i tam ćwiczyła, przy czym żandarmeria otrzymywała polecenie nie przeszkadzania tym ćwiczeniom.

W związku z coraz bardziej zaostrzającą się sytuacją zimą 1912/1913, Rybak zdeponował 3.000 karabinów w rejonie Trzebinia, Krzeszowice, Chrzanów, Skawina i nawiązał na nowo kontakt z Piłsudskim w celu omówienia z nim możliwości podjęcia akcji dywersyjnej w Kongresówce. Piłsudski stawił się na tę konferencję w towarzystwie Witolda Jodko-Narkiewicza. Zaznajomiwszy się z propozycjami Rybaka, Piłsudski uzależnił czynne wystąpienie „Strzelca" od zapewnienia mu pewnych prerogatyw zagwarantowanych umową ze sztabem generalnym. Z takiego postawienia sprawy wynikły poważne trudności. Jodko-Narkiewicz, obawiając się zerwania korzystnie zapowiadających się układów, wystąpił z propozycją odłożenia omówienia szczegółów na później, uważając że rzeczą najważniejszą jest uzyskanie przede wszystkim możności formowania oddziałów i przystąpienia do działania, nie uzależniając czynnego wystąpienia od poprzedniego zawarcia umowy. Piłsudski okazał się nieustępliwy i obstawał przy przyjęciu jego warunków przed przystąpieniem do akcji. Na tym tle doszło między Piłsudskim a Jodką-Narkiewiczem do ostrej wymiany zdań i konferencja się rozbiła.

Po kilku dniach Rybak ponownie zaprosił Piłsudskiego starając się dojść z nim do porozumienia. Tym razem zaproponował mu już w sposób konkretny zorganizowanie oddziałów i skoncentrowanie ich w pewnym, z góry określonym rejonie. W czasie tej rozmowy — jak pisze Rybak — Piłsudski bębnił nerwowo palcami po stole i sapał jak parowóz, namyślał się długo, ale w końcu przystał na przedstawione mu propozycje, postawiwszy jedyny warunek: polskie odznaki i dystynkcje dla oddziałów. Otrzymawszy odpowiednie zapewnienia Piłsudski wziął się energicznie do roboty. Podobną pracę podjął na terenie korpusu przemyskiego Józef Haller, a na terenie korpusu lwowskiego Kazimierz Sosnkowski.

Wszystkie te przygotowania trwały przez całą zimę 1912-1913. Na wiosnę okazało się jednak że z ciężkich chmur, gromadzących się nad tą częścią Europy, spadł mały deszcz. Do wojny nie doszło. Młodzież, która z zapałem stawiła się na wezwanie Piłsudskiego, zmuszona była rozjechać się z powrotem do domów.

Po zamordowaniu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, Rybak w porozumieniu z Piłsudskim przystąpił do nowej koncentracji niedawno rozwiązanych oddziałów strzeleckich.

20 lipca 1914 Rybaka mianowano delegatem sztabu generalnego do spraw legionów polskich. Skoro tylko rozeszła się wiadomość o tworzeniu się legionów, zgłosiło się wiele osobistości, stawiając swoją kandydaturę na stanowisko komendanta legionów. Rybak zdołał już dostatecznie poznać Piłsudskiego, wiedział że ma swoje własne idee i koncepcje, że lubi chodzić własnymi drogami, że współpraca z nim nie będzie łatwa, a jednak mimo to widział w nim jedynego człowieka zdolnego do wypełnienia trudnego zadania, przeszedł do porządku nad wszystkimi nagabującymi go kandydatami i postawił wniosek o mianowanie Piłsudskiego. Wiedeń przychylił się do wniosku, ale Rybak zataił przed Piłsudskim decyzję wiedeńską, gdyż znając jego indywidualność i dążenie do całkowitego uniezależnienia się, obawiał się w ostatniej chwili nieobliczalnych pociągnięć z jego strony. Ograniczył się więc do wydania Piłsudskiemu pełnomocnictw do pobrania broni, polecając równocześnie osiągnięcie pogotowia marszowego na dzień 6 sierpnia, aby być gotowym do wyruszenia razem z 7-ą dywizją kawalerii, do której to dywizji przydzielono oddziały polskie.

Dopiero 5 sierpnia w przeddzień wymarszu Rybak zdecydował się zawiadomić Piłsudskiego o jego nominacji. Zaznajamiając Piłsudskiego z zadaniem 7-ej dywizji Rybak wskazał mu na mapie marszrutę, którą miał iść z Trzebini na Olkusz a z Olkusza na Kielce.

Nazajutrz ku swojemu wielkiemu zdziwieniu Rybak dowiedział się że Piłsudski, powołując się na mistyczne rozkazy nieistniejącego Rządu Narodowego w Warszawie, na czele oddziału złożonego ze 150 strzelców rzeczywiście przekroczył granicę, ale nie w tym miejscu, w którym było to ustalone, lecz koło Miechowa. Według przypuszczeń Rybaka, Piłsudski zmieniając samowolnie drogę Trzebinia-Olkusz-Kielce na drogę Miechów-Kielce, chciał przede wszystkim zaznaczyć swoją samodzielność i dać do zrozumienia że na przyszłość plany należy z nim uzgadniać a nie ograniczać się do wydawania mu rozkazów.

Wkroczenie Piłsudskiego na teren Kongresówki nie dało oczekiwanego rezultatu. Do powstania nie doszło. Legiony doznały chłodnego przyjęcia. Pomimo to sprawa polska nabrała takiego znaczenia że władze austriackie doszły do przekonania że muszą ją wziąć w swoje ręce, aby pokierować nią już nie na szczeblu placówki wywiadowczej, ale na szczeblu państwowym. Sam Piłsudski w tym krótkim czasie okazał tyle samodzielności jako dowódca legionów że stał się nie tylko niewygodny, ale nawet może i po części niebezpieczny dla władz austriackich. 16 sierpnia nakazano jego formacji kadrowej natychmiastowy powrót do Krakowa. Piłsudskiego usunięto ze stanowiska komendanta legionów i poddano nowo stworzonemu dowództwu legionów polskich z gen. Rajmundem Baczyńskim na czele i kpt, Włodzimierzem Zagórskim jako szefem sztabu. W nowej organizacji Piłsudski przestał być decydującym czynnikiem spadając do roli wykonawcy. Kontakty między legionami a władzami austriackimi przeniosły się o jeden szczebel wyżej.

Ale z Piłsudskim sprawa była trudna. Sztab austriacki zmuszony był odwołać się ponownie do pośrednictwa Rybaka. Spotkanie odbyło się 28 października w Garbatce. W toku tej rozmowy Rybak dowiedział się że już 2 października z ramienia Piłsudskiego, Jodko i Michał Sokolnicki podpisali w imieniu t.zw. Polskiej Organizacji Narodowej (P.O.N.) umowę z 9-ą armią niemiecką, przy czym P.O.N. miała być na terenie okupacji niemieckiej odpowiednikiem N.K.N. na terenie okupacji austriackiej. Jeden batalion legionowy był już pod Warszawą, gdzie bił się w ramach armii Hindenburga, aby ewentualnie razem z nią wkroczyć do stolicy. W ten sposób Piłsudski, pragnąc zaszachować sztab austriacki i równocześnie uniezależnić się od polityki N.K.N., zabezpieczył się na dwie strony. Przez ten zręczny manewr uzyskał możność powoływania się na decyzje P.O.N. wobec sztabu austriackiego i odwrotnie powoływania się na decyzje N.K.N. wobec władz niemieckich, zależnie od tego jak było mu to wygodne, dzięki czemu zapewnił sobie znacznie większą swobodę działania.

Na opisie tej konferencji gen. Rybak kończy swoje wspomnienia o swej współpracy z Piłsudskim w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową.

Gen. Rybak wyznaje bez ogródek że Piłsudski stale podkreślał swoją niezależność i mówił tylko o tym co chciał i tylko tyle ile chciał. Rybak przyznaje również że przygotowywaną przez władze austriackie dywersję Piłsudski widział jako zbrojne wystąpienie zawiązków przyszłego wojska polskiego przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Dlatego nie domagał się pieniędzy, ale przyznania pełnych praw kombatanckich oraz stopni i odznak wojskowych.

Pamiętniki Rybaka ukazują osobistą bezinteresowność i stanowczość Piłsudskiego, z jaką, wpatrzony w wizję przyszłej Polski, bronił swoich postulatów, twardo obstając przy uznaniu legionów za zawiązek przyszłego wojska polskiego, domagając się stanowczo, pomimo całej dysproporcji sił, poniekąd praw sojuszniczych dla swoich oddziałów.

Dopiero czytając pamiętniki Rybaka widzimy jak daleko odbiegliśmy od owych czasów. Piłsudski nie targował się z władzami austriackimi o pieniądze, ale o prawo noszenia na czapkach orzełka polskiego, widząc w tym godle symbol przyszłej państwowości polskiej. Dziś skłonni jesteśmy przypisywać tym symbolom znacznie mniejsze znaczenie, a za to znacznie większe funtom angielskim i dolarom amerykańskim.

Inne to były czasy.

Tadeusz Machalski.

*) Pamiętniki gen. **Rybaka.** Posłowie: **Jan Kancewicz.** Okładkę projektował **Jan Młodożeniec.** Redaktor: **Aleksander Ewert.** Korektor: **Irena Rzepecka.** Warszawa, „Czytelnik", 1954; str. 292 i 4nl.

WSPOMNIENIA STAREGO LWOWIAKA

PRZEDMIEŚCIE GRÓDECKIE*)

Prawdziwe lwowskie „Eldorado", to Gródek, dzielnica przed i za rogatką gródecką. Mieszkańcy, przeważnie kolejarze, nie uznawali granic, torami i dziurami w płotach poruszali się swobodnie o każdej porze dnia i nocy. W torbach przenosili wszystko — żaden akcyźnik nawet nie spojrzał na przechodzącego w mundurze kolejarza. Woleli z nimi żyć w zgodzie, zawsze można było wytargować od znajomego tonę węgla, specjał od jeżdżących za granicę, czasem też i popić w knajpach — kolejarz dobrze zarabiał, miał gest.

Do rogatki wiodła szeroka ul. Gródecka, tryndał się tędy tramwaj konny, by od Kopytkowego hulać na dworzec. Tramwaj elektryczny dobiegał od ul. Leona Sapiehy. Ul. Gródecka od kościoła św. Anny miała po prawej stronie dom sierot, koszary artylerii im. ks. Ferdynanda, wylot ul. Bema, dalej szereg kamienic, w jednej z nich znaną z wyrobu dobrych kiszek restaurację Pfaffa. Liczne z prawej strony wpadające do tej szerokiej arterii uliczki obsadzone były narożnymi szynkami. Z lewej strony od początku ul. Gródeckiej wznosiły się kamienice poza ul. Sądową, z lokalem nocnym „Banzay", następnie składy drzewa opałowego po ul. Skargi, znowu kamienice ze słynną spelunką, kawiarnią „Amerykanką", w której tracili całe pensje kolejarze, i pl. Solny (później Bilczewskiego), na którym stanął kościół św. Elżbiety, piękny gotyk. Kościół wzniesiono przy wielkiej ofiarności obywateli gródeckich; kolejarze ufundowali ołtarz i dzwon.

Róg ul. Leona Sapiehy i Gródeckiej — apteka Łazowskiego, następnie kamienice i domki ciągnące się do rogatki, przerwane placem na narożniku ul. Kubasiewicza i dużym składem desek Neudecka. Skład od tyłu przypierał do starego cmentarza gródeckiego, z kilkoma zniszczonymi nagrobkami, miejscem hulanki okolicznych bachorów, wieczorem zaś schadzek. Szepty i westchnienia nieuświadomieni kładli na karb pokutujących dusz. Panny, wracające od krawczyń, z drukarń i innych zajęć, chętniej przechodziły nieoświetlonym cmentarzem w towarzystwie amanta, wolały nie afiszować się jasno już wtedy gazem rozjaśnioną górną ul. Gródecką.

Panny gródeckie — przystępne, miłe, wesołe — lgnęły do inteligentów, wyróżniając swymi względami techników, uważały widocznie że kolejarze i technicy, to pokrewne zawody. Znajomość z samotnie sunącą ul. Leona Sapiehy czy ogrodem Jezuickim panną gródecką, „sikorką co sama z ręki fryga", była dość łatwa. Odprowadzanie kończyło się na Kopytkowym; dalej groziło niebezpieczeństwo zetknięcia się z ojcem, lub co gorsza, z zarogatkowym wielbicielem panny. Gródeckie piękności nie grzeszyły wielką edukacją. Szkoła kolejowa dla dzieci kolejarzy oraz szkoła Konarskiego miały cztery klasy. Na czterech latach kończyło się wykształcenie. Panny szły do tego czy innego zawodu, chłopcy do rzemiosła ślusarskiego, by później za wstawiennictwem ojca zasilić warsztaty kolejowe, zostać maszynistą lub werkmistrzem. Kto raz wsiąkł w kolej, pchał do niej i swe dzieci — powstawały całe dynastie rodzin kolejarskich.

Idźmy dalej górną ul. Gródecką, której prawa strona od Kopytkowego wiodła wzdłuż oparkanienia torów kolejowych aż do budynku rogatki. Mniej więcej w połowie była brama z terenu ramp załadowczych i wyładowczych, była tu i waga pomostowa i tu opłacano należność akcyzową. Za rogatką na lewo gościniec prowadził na Kulparków, na wprost na Lubień Wielki, Sambor. Gościniec cesarski był dobrze utrzymany. Za rogatką fabryka wódek i likierów Sprechera, mechaniczna piekarnia „Merkury" i in. prócz z boku leżących cegielń. Do r. 1900 krążyły gościńcem gródeckim do kąpielisk siarczanych w Lubieniu Wielkim dyliżanse pocztowe, a jeszcze po r. 1900 gościńcem żółkiewskim do Kamionki Strumiłowej.

Sygiówkę Wielką i Małą zamieszkiwały z dawien dawna rodziny kolonistów niemieckich, ale już zasymilowanych. Lewandówkę rozłożoną na prawo, na uboczu, oddzieloną torami kolejowymi, upamiętniono piosenką o Białoniu, kasiarzu, bandycie, który zginął w walce z policją. Tu była jego melina.

Jak wszystkie przedmieścia miał i Gródek swoje typy. Takim miłym typem był Jaś Ł., z zawodu kożlarz. Elegant (nieraz można go było zobaczyć w cylindrze), rozrosły, silny, przystojny szatyn, miał również piękną siostrę Helcię. Matka, przekupka, handlowała za rogatką. Kto był ojcem Jasia i Helci o tym Jaś nigdy nie chciał mówić. Widać było rasę, pewną grację, swobodę w obejściu, Jaś uważał siebie za coś lepszego, szukał towarzystwa studentów i akademików. Kto chodził z Jasiem był nietykalny; towarzyszowi Jasia żaden batiar gródecki nie odważyłby się uczynić najmniejszej przykrości. Jaś trzymał batiarów żelazną ręką — tę żelazną rękę miał naprawdę. Podczas jednego z jarmarków krajowych na pl. Powystawowym pewien przedsiębiorca rozbił swój namiot rozrywkowy. Między innymi atrakcjami były siłomierze, kowadło i głowa Murzyna. W kowadło uderzyć należało tak aby kółko po pionowym drążku przebiegło 3m w górę i wpadło na poziomą poprzeczkę, a głowa Murzyna, uderzona, obróciła się o 180°. Trzy próby kosztowały 10 halerzy, za każde udane uderzenie otrzymywało się jedną koronę. Kiedyś Jaś zakupił po dwie serie biletów — powiodło mu się; przerażony przedsiębiorca odwołał go do swej budy, zawarł z nim widać jakąś umowę, bo odtąd Jaś nie grywał przy jego stoiskach. Powołany jako rezerwista w r. 1914, wyjechał do Serbii — słuch o nim zaginął.

Gródek miał także i liczne szumowiny, rozbijaków, grandziarzy. Wielu żyło wyłącznie z kradzieży węgla kolejowego, zakładając spółki, nakrywane przez policję tylko wtedy gdy szajka konkurencyjna chciała się pozbyć rywali. Bandy złodziei węgla składały się i z wyrostków, którzy powołani do trzyletniej służby w c. i k. armii, wracali ustatkowani. Nie wszystkim jednak smakował chleb komiśny, nieraz żandarmeria czy policja poszukiwała dezertera. Schwytanie było sensacją, pojmanemu towarzyszyła współczująca gawiedź, zdolna każdej chwili ułatwić ucieczkę. I tę tragedię gródecki poeta ubrał w piosenkę:

Czemu na Gródku lud się tam zbiera.
Czemu tam taki ścisk i gwar?
A bo prowadzą dyzentera
Pośród bagnetów kilku par.

Gródek zabudowywał się — kolej wybudowała trzy potężne bloki mieszkaniowe, zagnieździły się w nich spokojne rodziny, cmentarz uporządkowano zamieniając w rodzaj małego parku, Sokół II i związek kolejarzy z P.P.S. wznieśli duże gmachy z salami teatralnymi i kinami. Praca oświatowa tych towarzystw dała owocne wyniki — Gródek solidniał. Pokazał swój animusz i pazur w obronie Lwowa w r. 1918, zapisując w niej piękną kartę.

Józef Nerczyński.

*) por. „Jeszcze o kościele Bernardynów" „Rogatka żółkiewska" w nr. 543, „Ta joj — Łyczaków" w nr. 559, „Rogatka Zielona i Pohulanka" w nr. 564, „Wokoło rogatek stryjskiej i wóleckiej" w nr. 576 „Wiadomości".

Redakcja „Wiadomości" udziela odpowiedzi w rubryce „Korespondencja". Na odpowiedzi listowne należy nadsyłać znaczki pocztowe.

Wszystkie książki, nadsyłane do redakcji „Wiadomości", notowane są w specjalnej rubryce wraz z krótkim omówieniem.

Otchłań atramentu

Czy wiecie ile książek wydaje się w Anglii? Uwierzcie albo nie, w r. 1956 wydano 19.107 tomów. Ja sam bym w to nie uwierzył gdyby nie to że cyfrę tę znalazłem w nr. 581 „Wiadomości", w piśmie które nigdy nie podaje fałszywych informacji.

Jest to cyfra znacznie przewyższająca liczbę książek ukazujących się w Stanach Zjednoczonych z trzykrotnie większą ludnością. Anglicy bardzo są z niej dumni.

19.107 książek rocznie! Przeszło 50 książek dziennie! Dyskutowano o tej cyfrze w gronie kilku znajomych. Pan Barnes, księgarz i poeta, wyjaśnił że treść, która się pod nią ukrywa, jest w istocie o wiele bardziej imponująca niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Cyfra ta bowiem w żadnej mierze nie wyczerpuje całości wytwórczości literackiej w Anglii.

— Olbrzymia, przygniatająca większość pisarzy musi się z tym pogodzić że nigdy nie ujrzy swych utworów w druku. Jest to smutna pewność która nie wiedzie jednak do defetyzmu. Nikt jeszcze nie złamał pióra tylko dlatego że nie ma wydawców na natychmiastową publikację. Kto nie może pisać dla wydawcy, pisze dla — potomności. Być może nawet ta okoliczność wpływa zapładniająco na pisarzy. Jest to fakt o nieogarnionym znaczeniu kulturalnym że widzialna wytwórczość literacka stanowi tylko minimalny odsetek produkcji niewidzialnej.

— I co piszą ci niewidzialni producenci? — zapytał ktoś.

— Wszystko. Wszyscy piszą wszystko. Najwięcej beletrystyki. Wiadomo dobrze że życie każdego człowieka dostarcza materiału do powieści. Powieść może napisać każdy — i każdy ją pisze. To samo dotyczy oczywiście autobiografii. Utwory dramatyczne również nie przedstawiają dla przeciętnego Anglika absolutnie żadnych trudności. Fakt że tegoroczny konkurs „Observer"a przyniósł tak ubogi plon — nawet niecałe 2.000 sztuk scenicznych — świadczy tylko o tym że zasięg tego pisma musi być bardzo ograniczony.

„Co się tyczy poezji, to jest to rodzaj ze wszystkich najłatwiejszy. Na stu Anglików 98 pisze wiersze, a tym dwu, którzy mówią że ich nie piszą, nie należy wierzyć. Niedawno zmarły sławny ekscentryk C. M. Joad twierdził że on jedyny ze wszystkich swoich znajomych nigdy nie napisał wiersza. Można mu wierzyć — przynajmniej w tym co mówi o znajomych. Ale czy słyszał kto kiedy o pisarzu angielskim który by nie był równocześnie poetą? Większość z nich pisywała wiersze przez całe życie...

Ktoś przerwał te entuzjastyczne wywody:

— ...aby się znaleźć w sytuacji molierowskiego pana Jourdain który pewnego dnia dowiedział się że przez całe życie mówił prozą.

— Czy ja twierdzę że wszyscy ci co piszą wiersze są geniuszami poetyckimi? Twierdzę tylko że geniusz poetycki jest cechą narodu angielskiego. Gdzie jest inny naród gdzie pasja tworzenia piękna jest tak powszechna? Jaki naród może się poszczycić szeregiem takich nazwisk jak Brontë, Trollop, Benson, Powyss, Sitwell i tylu innych które są nazwiskami nie jednostek ale całych grup pisarskich? W Anglii literatura krąży w rodzinach. Krąży w krwi narodu.

„I fakt znamienny! Twórcze parcie talentu jest tak potężne że nawet przezwycięża tradycyjną angielską rezerwę. Anglik, tak przysłowiowo milczkowaty, tak niechętnie mówiący o swych sprawach osobistych, tak powściągliwy w zwierzeniach nawet wobec bliskich przyjaciół, nie zawaha się obnażyć do cna w setkach tysięcy słów autobiografii przeznaczonej dla setek tysięcy, ba — dla milionów obcych ludzi.

— I w czym zdaniem pana tkwi przyczyna tego pędu pisarskiego?

— Przecież już to powiedziałem. W geniuszu narodowym. W artystycznej naturze Anglików. I również w kulturze. Wytępienie analfabetyzmu usunęło ostatnią i jedyną przeszkodę powszechnej wytwórczości literackiej. Dziś już tylko maleńki ułamek ludności jest niezdolny do napisania książki. Dla przeciętnego Anglika, a zwłaszcza dla przeciętnej Angielki, jest rzeczą nieskończenie łatwiejszą napisać powieść niż jej nie napisać. Tutaj indolencja pisarska, tak charakterystyczna dla kontynentu, jest rzeczą niespotykaną. Pusty śmiech ogarnia na myśl o Tołstoju, który przepisywał „Wojnę i pokój" aż siedem razy, albo o Flaubercie, który przez miesiąc męczył się nad zdaniem opisującym kapustę.

— Zapomina pan o tym że im łatwiej przychodzi pisanie autorowi tym trudniej przychodzi czytanie czytelnikowi.

— To nie w naszym kraju. Kilka tygodni temu był w prasie wywiad z panną Enid Blyton. Nakłady jej książek przekraczają 40 milionów. Zapytana o metodę swej pracy, powiedziała: „Niektórzy pisarze planują układ rozdziałów książki i z góry obmyślają jej całość. Mnie taka metoda wydaje się bardzo dziwna. Ja po prostu siadam i otwieram krany z których się wylewa co się ma wylać". Mam zupełną pewność że to co panna Blyton powiedziała o sobie, stosuje się również do przytłaczającej większości pisarzy i pisarek angielskich. Bo to one właśnie, pisarki, mają największy udział w cudownym rozkwicie literatury narodowej.

Na wzmiankę o kobietach jeden z uczestników rozmowy, Francuz, poderwał się:

— I pan to pochwala? Tę grafomanię? Te stare panny ogarnięte ślepą furią tworzenia?

— A pan to potępia? Dla mnie jest rzeczą naturalną i nawet wzruszającą, że kobiety, zahamowane w swej naturalnej funkcji wydawania na świat potomstwa, wydają na świat książki. Któż może zaprzeczyć że samotne kobiety mają w sobie coś zachwycająco poetycznego? Jak to pięknie powiedział Shelley: „Słowiki śpiewają w ciemności by utulić swą samotność słodkimi dźwiękami".

— Te same słowiki które miał na myśli Szekspir gdy pisał: „Och, ona wpadła w otchłań atramentu, i wielkie morze nie ma dość kropli by ją wymyć do czysta"?

— Nie, nie te same słowiki. Zdanie Szekspira dotyczy nie twórczości literackiej ale nadmiernej korespondencji.

Francuz się żachnął:

— Gdzież jest różnica? List zwraca się przeciw jednej osobie, książka przeciw masie osób. Dlaczego zbrodnia zamierzona na jednostce ma być gorsza od zbrodni zamierzonej na społeczeństwie? My we Francji wiemy że kobieta która pisze książki popełnia dwie zbrodnie. Jedną — że zwiększa liczbę książek; drugą — że zmniejsza liczbę kobiet.

— Ani jedno ani drugie nie jest zbrodnią. Zbrodnią jest — obskurantyzm. Już Browning był na tyle oświecony by się radować że rzeźnik maluje i że fryzjer pisze sonety. To jest właśnie angielski punkt widzenia. Ten sam Browning jest autorem pamiętnych słów:

Wielkie jest życie gdy mu wielki cel [przyświeca.
Staraj się być Szekspirem, o resztę [niech się troszczy los.

„I miliony Anglików stosują się do tego płodnego wskazania.

— Wiem że się stosują. Ale ilu udało się zostać Szekspirami? O ile dobrze znam obecną literaturę, udało się to jednemu: Baconowi czy któremuś tam. Ale reszta... Dla samego Browninga los nie okazał się zbyt łaskawy. Starał się być Szekspirem a biedactwo, do końca życia został — Browningiem.

— Niech pan nie lekceważy Browninga. To był wielki człowiek. Pod pewnym względem nawet prześcignął Szekspira.

— ?

— Poemat jego „Ring and the Book" zawiera 21.016 linijek. Szekspir nawet marzyć nie mógł o takiej ilości.

— Niech pan mówi o jakości.

— Nie mam co mówić o jakości. Jakość nie ma dziś znaczenia. Mogła je mieć w czasach dawnych kiedy tylko nieliczni pisali a większość musiała się zadowalać tym co nieliczni napisali.

— A dziś większość nie czyta?

— Słyszał pan o pani Humphrey Ward? Była to znakomita pisarka wiktoriańska. Była również osobą bardzo oczytaną. Ale zarzuciła zupełnie czytanie od czasu gdy jej własne książki zaczęły ukazywać się w druku. Uznała że jej powieści idealnie odpowiadają jej upodobaniom estetycznym. Czytała je wielokrotnie i za każdym czytaniem odnajdywała w nich nowe, nieprzeczuwane piękności. I chyba każdy piszący odczuwa to samo co pani Humphrey Ward. Dlatego słuszne są słowa A. A. Milne'a że książki nie powinny być dziś wydawane. Powinny być tylko pisane i jeden egzemplarz powinien być pięknie wydrukowany aby mógł go czytać autor.

„To ma pan odpowiedź na pytanie czy większość czyta. Jeżeli czyta, to czyta własne książki. W British Museum widzi pan ludzi pochylonych nad książkami. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się że je czytają. To złudzenie. Przerabiają stare książki na nowe, cudze na własne. Ale czytać? Któż by chciał czytać cudze książki jeśli może czytać własne? Spencer pisał o filozofii, ale nie czytał literalnie nic: nawet nie skusiły go „Szkice" Locke'a które były w bibliotece jego ojca. A Charles Lamb wspomina gdzieś o pisarzu który całkowicie zarzucił czytanie „z wielką korzyścią dla swej oryginalności". Dziś te przykłady się upowszechniły. Nie wynika z tego że Anglicy są nieoczytani. Przeciwnie, są zdumiewająco oczytani jeżeli wysunie się przypuszczenie że każdy przeczytał wszystko co sam napisał. Ale prawdą jest że Anglia nie jest już krajem czytelników ale krajem autorów.

— I pan uważa że to jest dobrze?

— No, pewnie. Jakże mógłbym być przeciwko postępowi? Któż może zaprzeczyć że czytanie odpowiada najniższemu szczeblowi wykształcenia? W życiu jednostkowym kolejność jest taka, że najpierw opanowuje się sztukę czytania, a dopiero później przychodzi się do pisania. Ta sama kolejność rozwojowa występuje w społeczeństwie. Czytanie książek było zajęciem ludzi którzy nie umieli ich pisać. Ale w Anglii kultura osiągnęła dziś taki poziom że książka nie jest już rzeczą do czytania ale do pisania.

— Mój Boże! Cóż by na to powiedział dr Johnson. Dr Johnson nie życzący sobie rozmawiać z osobami które więcej napisały niż przeczytały.

— Well, obawiam się, że gdyby Johnson żył w naszych czasach, byłby skazany na wieczne milczenie.

Jerzy Wendel

„Wiadomości" pod Kordylierami

San Juan, w maju 1957.

PONIEDZIAŁEK

Co za podróż! Sześciotygodniowa! Przez ocean i przez pampę. Wreszcie to miasteczko otoczone popielatymi, liliowymi i granatowymi górami, poznaczonymi płachetkami śniegu. „Wiadomości" siedzą w worku pocztowym, przytłoczone górą gazet i listów, i oczy mają przesłonięte papierową opaską. Nie widzą więc nic. Ani wielopiętrowych banków i urzędów pocztowych kolorowych od mozaiki, błyszczących miedzią i niklami, lekkich od na wpół uchylonych żaluzji. Ani ruin po ostatnim trzęsieniu ziemi. Ani sterczących żelbetonów gorączkowej odbudowy. Ani rozkopanych avenid oświetlonych arkadami lamp.

Siedzą w worku, a potem w torbie listonosza. Rowerowe koła kręcą się po czerwonych ścieżynach parku, między zielenią trawników, między willami przysiadłymi w cieniu ogródków.

Czapka „cartero (listonosza)" jest niebieska jak niebo, a twarz czarna jak ziemia.

W eukaliptusami wysadzonej alei jedzie śmieciarz na swojej olbrzymiej i ciężkiej dwukółce, zaprzężonej w trzy muły. I brzęczą w skrzyniach syfony i butelki wina na ciężarówce. I rzeźnik wiezie w plecionym koszyku mięso ozdobione zielonym warkoczem marchwi. I dwie prześliczne dziewczyny mkną na motonetce. I wielka lśniąca limuzyna wymija starego fordziaka, aby zatrzymać się przed czerwoną willą z białą balustradą włoskiego dachu.

Tu jest już i śmieciarz, i listonosz, i rzeźnik, i panienka na motonetce, i kilka rowerów poza wachlarzami palm.

Moja Indianka pochyla sępi profil nad gradem sypiących się pomidorów. Panienki przebiegają i nikną w głębi otwartych drzwi „Wieży Babel". Tu w tym domu pomieszały się języki hiszpański z angielskim. Za tymi drzwiami pobierają naukę studenci, którzy jadą na praktykę do Stanów i piękne narzeczone, które jadą do Europy w podróż poślubną; i wszelkiego rodzaju „inteligenty" łaknące wiedzy i snoby pożądające patentu z „cultura británica".

Mój mąż jest w modzie i chadza w sławie. Ma 123 dzieci, niczym Ojciec Wirgiliusz. Dzieci go uwielbiają i on za nimi przepada.

Jest poniedziałek, wobec czego muszę skrócić do minimum wymianę pocałunków i uśmiechów z uczennicami. Z „Wiadomościami" w ręku rozdaję na prawo i lewo wesołe powiedzonka. Przepada za nimi winiarz, śmieciarz, listonosz i moja pomocnica domowa.

Już zawracam w głąb patia. Biegnę w cieniu kolorowego, płóciennego „tolda" i przysiadam na pierwszym lepszym krzesełku. Wielka radość trzepocze się w powietrzu wraz z małym, zielonym kolibrem. Niecierpliwe ręce rozdzierają opaskę i rozkładają płachtę „Wiadomości". 6 stron! Dzisiaj 6! Cudownie!

I któż to do mnie przyjechał z zamglonego Londynu czy lśniącego Paryża? Porzucili stare książki, szafy biblioteczne, zdjęli z nosów okulary i zaludnili mój mały ogródek na tyłach domu.

W świetle przesianym przez winne liście, pod pergolą przetkaną skrawkami nieba i obciążoną ciężkimi gronami owocu, zjawiają się Kukiel i Sławoj Składkowski. Noszą jeszcze generalskie mundury. Obok Danilewiczowa, Badeni i Lednicki. Ukazują mi dociekliwie odgrzebane „przedwczoraj". Wobec czego zupełnie inaczej wyglądają pani Walewska, Mickiewicz i Puszkin.

Spoza kępami rozkwitłych chryzantem wychyla się ironicznie uśmiechnięta twarz Malczewskiego. Nasunął pomięty kapelusz na oczy nie chcąc widzieć ani mojej rozwiniętej mimozy, ani całej tej podzwrotnikowej przyrody, której stanowczo nie lubi. Siedzi z Terleckim; noszą nieposzlakowanie skrojone garnitury. Mają krawaty równie misternie związane jak zdania swoich essayów.

Grydza nie widzę. Ale czuję go w każdej literze dużej czy małej. W niespodzianym rozlokowaniu kontrastów czy w powiązaniu tematyki. Oto, człowieku, pogrążasz się w dociekliwej filozofii religii, aby za chwilę szarpnąć się w uchwycie okrutnego realizmu. Niespodzianki się piętrzą. Postęp i liberalizm pędzą na łeb i szyję, ustępując miejsca najserdeczniejszej czułości.

Jest poniedziałek i dorwałam się do „Wiadomości". Może teraz coś kipieć w mojej kafkami wyłożonej kuchence; może zatrząść się zielony trawnik; może wykluć się nawet kilkoro żółciutkich piskląt? A ja nic — tylko czytam. Z Big Benem łażę po Londynie. Z Dobkiem jeżdżę tramwajem po Glasgowie. Z Bohdanowiczową przysiadam w walijskim ogródku. Oglądam z Siemieńskim Afrykę i z Frylingiem roztapiam się w ciszy Himalajów. W Australii sadzę z Kruszelnickim pomidory, z Paszkowskim wspominam starych Polaków i na dworcu w Melbourne witam Małcużyńskiego.

W ogóle podróżuję! Ameryki Północnej nie lubię, ale patrząc na urbanistykę Nowego Jorku oczami Malczewskiego, czy z Lechoniem przysiadając na ławce w parku — zaczynam się do niej przekonywać.

Stany mają swe miejsce w „Wiadomościach" polityczne, statystyczne, muzyczne, patriotyczne i z każdej beczki.

Chciałabym wiedzieć, gdzie mieszka Grabowski? Ten jeździ, Boże mój drogi! Hiszpania, Grecja, Matterhorn! Zawsze odkrywa cuda, których nie dostrzegli (chyba że Korowicz na Mont Blanc).

Podróżuję. Włóczę się po Somali z Jeśmanem i z Lili. „Jeep"em walę wśród kopców termitów i przyglądam się w tańcu wirującej, nylonowej sukience. Ta nowoczesna dziewczyna w krótkich „short"ach i czarnych okularach jakiż kontrast stanowi z panią Hajotą, która pięćdziesiąt lat temu w powłóczystej sukni i w korkowym hełmie zwiedzała wraz z mężem (Rogozińskim) „głębie Afryki".

I z kim to jeszcze jestem dzisiaj po imieniu? Z Isią Tetmajerówną z Bronowic. Podobno zjechała do Londynu? I z Zosią Malczewską, która podtyka zwierzakom w Kanadzie jakieś nadzwyczajne łakocie, kupuje szynkę i nie ma nic wspólnego z „emigracją na kanapie".

Ale koniec radosnym podróżom. Trzeba się teraz trochę pomartwić.

ZA ZIELONYM ŻYWOPŁOTEM

W „Wiadomościach" dzieje się tak jak w moim ogrodzie. Nie tylko są kwiaty i trawniki, ale jest i skrzynka na śmiecie, ukryta poza pięknie przystrzyżonym żywopłotem. I są tam, z tej drugiej strony, sznury z rozwieszoną bielizną i cały emigracyjny „lamus". Nasz redaktor lubi zaglądać poza zielony żywopłot.

Na przykład tragiczna i bohaterska Warszawa Korbońskich i Zarembów z jednej strony, po drugiej cuchnie odpadkami najniższych instynktów w „Wojnie" Nepomuckiej. Historia in flagranti ma różne aspekty i należy jej czasem w oczy spojrzeć, szczególnie jeżeli rzecz jest napisana z talentem. Tam, za tym zielonym żywopłotem znajduje się również „Dziewczyna z Parmy", młodsza siostra „Mademoiselle Fifi" Maupassanta (świetnie naszkicowana).

Tam za żywopłotem wybucha jakoby antysemityzm w Polsce. Małe szczenię poszczekuje w stalinowskiej Polsce. Ale cóż znaczy ten jazgot, wobec wielkich brytanów antysemityzmu Niemiec i Rosji?

Nie mamy w sobie żyłki dyplomatycznej, i w Paryżu na ten temat ogłasza się ankietę właśnie w chwili kiedy Niemcy na gwałt się rehabilitują, pielgrzymując do grobu Anny Frank. „Wiadomości", na szczęście, zajmują stanowisko obiektywne. Poza głębokim szacunkiem dla Askenazego i nieszkodliwymi „Żydami" Pawlikowskiego — artykuł Tadeusza Nowakowskiego i obrona walorów wojskowych żołnierzy Izraela, które to walory zaprzeczają dawnym powiedzonkom: „Żyd — to symbol tchórza". Wreszcie Polski Żydowski Teatr Państwowy w Londynie z „Meirem Ezofowiczem" i „Mirele Efros".

Humanitaryzm i tolerancja muszą zabliźnić małe zadrapania, które paryska ankieta jątrzy.

I co jeszcze?

Coraz częściej, w poniedziałek w moim patio pod Kordylierami, mogę cieszyć się tym, że nie tylko „my" piszemy po tej stronie, ale że i „oni" w Kraju zaczynają pisać, przekładać Orwella i Koestlera i wysyłać do Londynu „Mazowsze".

Herling-Grudziński sygnalizuje nam nowe, krajowe talenty a nasz redaktor wali całą stronę świetnych „Parodii" Swinarskiego.

Tematyka krajowa jest bolesna. Z reminiscencji dostojewszczyzny, z tragizmem podejścia do każdego zagadnienia. I tu nasuwają się analogie między „Pętlą" Hłaski (w Kraju) i „Hazardem i miłością" Kowalewskiego (na emigracji).

Obie nowele napisane z talentem i świetnie psychologicznie przeprowadzone, mają różny klimat.

Alkoholik Hłaski u progu delirium wiesza się, przypisując swoje nieszczęście tej, która go broniła przed nim samym. Nienawidzi jej. Przeciwnie, Kowalewski lekceważy męską bezwolność nałogowca, powracającego do swych „piesków". Traktuje go z właściwą sobie rubaszną ironią i ze skrytym sentymentem podchodzi do kobiety, która „zdrowo" reaguje.

Czyż nie ma w tym wpływu Polski u jednego i Anglii u drugiego? Tak jak w starym Marcelu Prévostcie czuje się wpływ Francji. Francji „bon-viveur"ów i kobieciarzy (nałóg nr 3).

„NIECH BĘDZIE POCHWALONY OBYWATEL JEZUS CHRYSTUS"

Nieraz po moim ogródku zaczynają chodzić strachy. Bo nic nie wiadomo jak tam będzie z tym Gomułką? Wprawdzie zaczynają zjawiać się przedruki z „Wiadomości" i likwiduje się „wyżymaczkę" zagłuszającą transmisje z zagranicy. Ale... lepiej nie mieć złudzeń, jakie miała Zofia Kossak.

Fakt, że nie przetransmitowano jej powitania: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus w Polsce!".

I mimo że jest Bóg w Polsce chwalony „Na wieki wieków Amen", czynniki rządzące zdają się przemawiać językiem z „Dni i nocy" Lipskiego: „Niech będzie pochwalony Obywatel Jezus Chrystus!".

Na łamach „Wiadomości" oddycham swobodnie najgłębszą filozofią religii Eliota. Czytam sprawozdanie z „The African Witch" Joyce'a Cary. Dowiaduję się o nawróceniu Claudela i Péguy. I cieszę się z posiadania w „Wiadomościach" X. Kantaka.

Czasem humanitarny liberalizm redaktora drukuje „Pochwałę strachu" Giżyckiego. W naszym piśmie nic się nie może znaleźć na indeksie, chociażby wokoło artykułu zebrały się chmury i ciemności ze świata Sartre'a czy Camusa. Chociażby rozległy się przebrzmiałe echa starego Darwina i starego Renana.

Za to, choć artykuł odrzuca sakralną istotę Chrystusa, brzmi w nim serdeczna troska o prawdziwy chrześcijanizm. Eliot powiedziałby może, przeczytawszy „Pochwałę strachu": „Dojście do sceptycyzmu stanowi wstęp do nawrócenia".

„Burżujski Bóg" drażni nie tylko autora artykułu, ale i wielu z jego czytelników. Bóg bywa różny: czasami jest dziecinną „Bozią z aniołkami", czasami — Bogiem „wielce cierpiętliwym" ze „Szczenięcych lat" — czasami — groźnym Bogiem nawróconych „Eskimosów" czy plemion „Mau-Mau". Bywa Bogiem pierwszych chrześcijan i Bogiem ofiar Buchenwaldu i Majdanka. Bogiem radosnym i Bogiem tragicznym. W każdym razie Bóg „burżujski" należy do najsmutniejszej kategorii.

OBRONA STARZYZNY

Czytam „Wiadomości" od deski do deski i zastanawiam się nad dniem wczorajszym. Dlaczego ma tylu przeciwników i tylu entuzjastów?

„A może to nieprawda — pisze Pankowski w nr. 538 — że przeszłość umiera? Może wszystkiemu co żyje potrzebne są rzeczy wczorajsze?". Może potrzebne są nie tylko podróże na krańce świata, ale i urocze wycieczki w krainę młodości?

Niektóre małe polskie miasteczka miały szczęście do wspomnień. Taki Tarnów do Bielatowicza; taki Zamość do Rosy Bailly; taki Czortków do Otwinowskiej i nawet zadymiona ulica Piotrkowska w Łodzi do Solskiego.

A Lwów Hemara, Plutyńskiego, Rosy Bailly czy Starego Lwowiaka?

Czyż nie są potrzebne wspominki temu miastu „przed którym wysunięto granice Azji?" (Fryling).

A wieś polska? Obertasy i niebieskie ostróżki Czuchnowskiego, „Las odbieżany" Bohdanowiczowej widziany z lotu ptaka przez Józefa Mackiewicza. I ta stajnia Janty. I te wioski Pawlikowskiego, Glinki, Rajeckiego, poznaczone przez drogi dwie:

...łapciami deptane na wieki:
jedna na cmentarz, druga w świat daleki.
(B o h d a n o w i c z o w a)

Właśnie w tym świecie dalekim, pod Kordylierami, w którym gwiazdy są nawet inne, brak mi mojej dawnej Warszawy za którą tęsknię „poprzez mil tysiące" i którą odnajduję w wierszu Słonimskiego zacytowanym przez Kozarynową: .

„Ogród Saski jest jeszcze? Ciągle taki [samy?
Jest fontanna?...
. . . . .
Nie wiem jak tam teraz: dawniej [dobrze było".

Janina Surynowa-Wyczółkowska.

Czy każdy wypełnił już swój obowiązek obywatela Republiki Literackiej i wziął udział w głosowaniu na cztery najlepsze szkice autobiograficzne spośród ogłoszonych w nr. 590 „Wiadomości"

p.n.

„Najbardziej wstrząsające wydarzenie mego życia'?

Kartki wyborcze były dołączone do nr. 590.

Ostateczny termin nadsyłania odpowiedzi zbliża się wielkimi krokami.

„LA POLONAISE"

Wnosząc z tytułu i z imienia autora — Stanislas d'Otremont — czytelnik spodziewałby się znaleźć w tej powieści*) motywy polskie. Spotyka go zawód. Powieść ma formę pamiętnika osoby bez nazwiska, imieniem Ellen, z nieokreślonej epoki „przewrotów politycznych" we wczesnym XIX w. Nic w usposobieniu bohaterki nie uzasadnia jej polskiego pochodzenia. Gdyby, w poszukiwaniu pieprzyka egzotyzmu, autor uczynił ją Niemką, wyposażyłby ją w błękitne oczy i wzdychający sentymentalizm, Włoszka byłaby czarnooka i śniada, Angielka — bladooka egoistka, Hiszpanka — ognista, Skandynawka — chłodna i tajemnicza i t.d. Polka jest cnotliwą awanturnicą wysokiego rodu, niebezpieczną miłośnicą, która kochając bacznie obserwuje spod zmrużonych powiek.

D'Otremont dał się poznać w swych poprzednich powieściach stylem tak dalece klasycyzującym że wygląda na plagiat pisarzy między XVII a XIX w. Styl bardzo dobrze robiony, ale robiony. Mimo sztuczności zamiaru i wykonania, zaciekawia, a nawet chwilami przykuwa. Jest to — podświadomy może, zrodzony w pogoni za oryginalnością — protest przeciw ultranaturalizmowi. Język takich wirtuozów jak Marcel Aymé, a choćby André Chamson, pomijając już J. P. Sartre'a o specyficznym zabarwieniu (jeśli weźmiemy pod uwagę współczesnych klasyków mijającego pokolenia), niewątpliwie bujniejszy i obfitszy, pękający od nadmiaru świetnych nieraz neologizmów, urąga prawom dobrego obyczaju pisarskiego obowiązującego od pokoleń. Nie pozostawia nic niedopowiedzianego. Perfidna poprawność Françoise Sagan robi wrażenie literackiego „strip tease". D'Otremont cofa się do tradycji przejrzystej sztuczności, w której wszystko jest nieprawdziwe, od szczytu formy do głębi treści. Jak gdyby sygnał alarmowy. To intryguje i daje do myślenia.

„La Polonaise" mógłby napisać Benjamin Constant, gdyby chciał naśladować samego siebie. Wszystko co autor znaczy piętnem polskości jest równie absurdalne jak w „Adolphe". Ale Constant operował własnymi pojęciami i mówił językiem literackim swojej epoki, a d'Otremont go podrabia. Taka wtórna stylizacja wzbudza podziw, ale nie porywa.

Bohaterka powieści, wywieziona w dzieciństwie przez matkę, wraz ze szkatułką klejnotów, do Francji z „cette pauvre Pologne" — ten zgrzyt od razu w pierwszym zdaniu zaświadcza o tradycyjno-literackim gatunku jej polskości — opowiada dzieje swojej miłości, zbyt zapalnym dziewczętom ku przestrodze. Wątpliwa przestroga. Zapalną wyobraźnię panieńską owych czasów mogłyby raczej uwieść sugestywne opisy tragedii uczuciowych przeplecionych uciechami zmysłowymi, pośród pałacowego przepychu, złoconych salonów pełnych arystokratycznych gości, zaufanej służby przemykającej się z bilecikami, rączych koni na stajni i błogiego, sytego, strojnego próżniactwa. W tych opisach występuje świetność stylizacji. Cała akcja, to histeryzowanie pięknej kobiety, która „kochała cnotę na równi z miłością" i dokonywany przez nią drobiazgowy rozbiór własnej mózgowej namiętności. Ani na chwilę nie bucha tam płomień szczerego uczucia i nigdzie nie prześwieca rzeczywistość. Miasta nie mają nazw, ludzie noszą inicjały; jedyna osoba nazwana, to kuzynka Léadiska. Nie jest to bez precedensu: Théophile Gautier w „Mademoiselle de Maupin" spłodził Polkę imienim Lodoïska. Zresztą sama Ellen wywodzi się zapewne od pięknej, dumnej i skomplikowanej Ellénore z „Adolfa".

Tła nie ma wcale, Francja i Polska są jednobarwne, — rzecz dzieje się i tu i tam, — i to też odtwarza wiernie klasycznie-romantyczną atmosferę, gdzie ważne były jedynie wzloty i upadki ducha oraz ciała. Naśladownictwo jest drobiazgowe, bo przecie im wcześniejsi mistrze, tym mniej w ich opisach powietrza i przestrzeni; Choderlos de Laclos rozwija finezje cynicznej psychologii zupełnie bez tła. D'Otremont w swej podfałszowanej staroświeckości nie umywa się do Laclos, ale i on potrafił znakomicie ograniczyć temat do gry umownych wartości i zamknąć go w salonie; do sypialni nie wchodzi. Rolę przyrody uwzględnia tylko by spowodować wstrząs rozpętaniem się burzy, aby pozwolić kochankom przechadzać się w ogrodzie „sous les ombrages". Te niezrównane „ombrages" z najlepszej tradycji dawno ubiegłych stuleci każą mu przebaczyć kilka pseudopsychologicznych złośliwości na temat natury polskiej, opartych na doskonałej jej nieznajomości i wypowiedzianych z odwagą ignorancji.

Zofia Kozarynowa.

*) **Stanislas d'Otremont.** La Polonaise. Roman. (Avertissement aux filles trop passionnés). Préface de **Henri Clouard.** Paryż, René Julliard, 1957; str. 197 i 3nl.

GOGOL I POLSKA

W nr. 573 „Wiadomości" ukazało się interesujące omówienie książki Davida Magarshacka o Gogolu, pióra Scrutatora, do którego chciałbym dodać kilka uzupełnień.

Pochodzenie Gogola od polskiego pułkownika Ostapa Gogola w żadnej mierze nie odpowiada prawdzie. Gogol posługiwał się dwiema genealogiami. Jedna — prawdziwa — wywodziła jego ród z rodziny prawosławnych duchownych Janowskich, druga — fantastyczna — od owego Ostapa Gogola. Owa fantastyczna genealogia powstała wtedy, kiedy dziad Gogola, Afanasij Janowskij, syn popa, ożenił się z córką ukraińskiego bogacza i szlachcica Lizoguba. Jak i bardzo liczni z jego współczesnych Afanasij Gogol przy protekcji Lizoguba bez trudu osiągnął uznanie swego „szlachectwa" (ukraińscy ziemianie jeszcze do początku XIX w. nazywali siebie zgodnie z polską tradycją „szljachticzami", a nie „dworianami"). I dopiero dziad Gogola dodał do swojego nazwiska Janowskij drugą połowę „Gogol". Formalnie Gogol nazywał się w większości oficjalnych dokumentów w ciągu całego swego życia albo Gogolem-Janowskim albo po prostu Janowskim.

Pochodzenie Gogola od Ostapa Gogola obalają już te dokumenty, które Afanasij Gogol przedstawił w rosyjskim „departamencie heroldii". Po pierwsze, jest w nich mowa że Ostap Gogol był w armii Sobieskiego w kampanii wiedeńskiej. W rzeczywistości Ostap umarł na kilka lat przed rokiem 1683. Po drugie, dyplom nobilitacyjny, wystawiony przez Jana Kazimierza, był „omyłkowo" datowany w sześć lat po śmierci króla. Gogol, który zajmował się ukraińską historią — i jeśli nawet mieć wątpliwości co do jego znawstwa historycznych dat i faktów, to przecież wśród jego przyjaciół byli tacy znawcy jak Maksimowicz i Bodianskij — musiał zauważyć w dokumentach, rzekomo potwierdzających jego szlachectwo, te niedokładności i „omyłki", nasuwające na pamięć turecki kindżał Nozdriewa, na którym „omyłkowo" wyryto: „Mistrz Wasilij Sibirjakow". Prawdopodobnie właśnie dlatego Gogol nie lubił mówić o swoich mitycznych przodkach.

Jest rzeczą interesującą iż Gogol prawdopodobnie dość wcześnie nauczył się polskiego. Nie wiemy, czy w liceum nieżyńskim za czasów Gogola uczono polskiego, ale nauka polskiego była na Ukrainie wtedy rzeczą normalną w takich zakładach naukowych jak uniwersytet charkowski, seminaria duchowne i akademia kijowska. Liczni koledzy Gogola znali język polski i zajmowali się literaturą polską, a jeden z nich, Liubicz-Romanowicz, zaraz po ukończeniu liceum wystąpił z przekładami z Mickiewicza (ukazywały się one w czasopismach i weszły w skład tomu wierszy, który wydał w r. 1828). Z zainteresowaniem Gogola literaturą polską i życiem duchowym wiąże się jego znajomość z Bohdanem Zaleskim i z Mickiewiczem.

Trudno też mieć wątpliwości co do owego — często zresztą stawianego pod znakiem zapytania — epizodu, o którym opowiadali polscy zmartwychwstańcy. Wieriesajew tłumaczy go chęcią Gogola przypodobania się księżnie Zinaidzie Wołkonskiej. Nie potrzebował tego skoro był z nią i przedtem i potem w dobrych stosunkach. Wieriesajew dał swój montaż źródeł o Gogolu, ujęty z tego punktu widzenia, jaki znalazł wyraz w jego rozprawie „Na dwóch planach": poeta jako poeta i poeta jako człowiek w życiu prywatnym zupełnie różnią się jeden od drugiego, są to dwie różne osobowości, i poeta jako człowiek jest często bardzo nędznym i ujemnym typem (uzasadniał to cytatami z Puszkina). Zanim wyszedł drukiem zbiór materiałów Wieriesajewa o Gogolu (tekst samego Wieriesajewa ogranicza się tam tylko do drobnych uwag), pisarze XIX w. znaleźli się już w Związku Sowieckim „pod ochroną" swoistej cenzury. Mimo to Wieriesajewowi udało się przemycić w jego zbiorze materiałów trochę uwag w stylu rozprawy „Na dwóch planach", i do takich to uwag należą także i „objaśnienia" do relacji Jańskiego i Kajsiewicza na temat Gogola.

Ale przecież właśnie wtedy (1838) Gogol pisał o tym, że „tylko w Rzymie można się modlić". Wolno wątpić czy miał tu na myśli skromną cerkiew prawosławną w ambasadzie rosyjskiej, a nie wspaniałe kościoły katolickie i przede wszystkim katedrę św. Piotra. A nie są to jedyne fakty. W tymże samym czasie także w Rosji obiegały pogłoski że Gogol zamierza przejść na katolicyzm. Z trwogą pisała o tym jego matka. Wspaniała jest odpowiedź Gogola. Stwierdza on pokrótce, iż nie zamierza zmienić wyznania i dodaje „zresztą nie ma i po temu potrzeby [!], skoro wszystkie wyznania chrześcijańskie uczą tego samego". Właśnie dlatego Gogol, który zaczytywał się w literaturze religijnej, a w tej liczbie także i we wschodnich Ojcach Kościoła, ponad wszystko cenił taki katolicki utwór jak „O naśladowaniu Chrystusa" Tomasza a Kempis, poleca tę książkę wszystkim swoim przyjaciołom, a nawet niektórym z nich posyła ją w podarunku. A niedawno (1952) wydrukowano fragment z listu do przyjaciółki i protektorki Gogola, starej księżnej Szeremietiewoj. List z 28 marca 1849 pisał rosyjski jezuita, kniaź Iwan Gagarin. Daje on w nim wyraz zadowoleniu z tego co słyszy o Gogolu i prosi by przekazać mu że on (ksiądz katolicki) „od dawna wspomina Gogola w swoich grzesznych modlitwach... a teraz i przy świętym ołtarzu". Nie znaczy to, oczywista, iż Gogol chciał przejść na katolicyzm, ale potwierdza liczne i bliskie związki osobiste Gogola z neofitami rosyjskimi.

Bardziej złożona jest sprawa stosunku Gogola do politycznych zagadnień dotyczących Polski. W każdym razie zacytowany przez Scrutatora list do Zaleskiego jest bardzo znamienny. I nie trzeba zapominać, iż starsza siostra Gogola wyszła za mąż za Polaka Truszkowskiego i że Gogol, często krytycznie odzywający się o planach swojej matki i sióstr, do tego małżeństwa miał stosunek zupełnie pozytywny. Przypomnijmy sobie wiersz Puszkina z powodu zamierzonego małżeństwa hr. Olizara z Rajewską (późniejsza Wołkońską). Puszkin uważa mażeństwo Rosjanki z Polakiem za coś przeciwnego naturze.

Gogol raz tylko rzucił uwagę z powodu małżeństwa siostry z Polakiem, że „Polacy teraz w niełasce", ale nie wyciąga z tego (po powstaniu r. 1831) żadnych wniosków, pisze raczej z sympatią dla tych co są „w niełasce". W każdym bądź razie jest rzeczą godną uwagi, że Gogol był prawdopodobnie jedynym z rosyjskich pisarzy, który w ogóle nie wypowiadał się, nie wspominał o powstaniu (znane są nieprzyjemne, mimo wszelkich prób ich obrony, wiersze Puszkina i Żukowskiego, jak i surowy sąd ks. Wjaziemskiego, podówczas polonofila, o wierszach Puszkina). Opinie Gogola o Polsce w „Tarasie Bulbie" w ogóle nie mają charakteru politycznego, nie ma w nich (tak w pierwszej jak w drugiej redakcji z r. 1840) żadnych aluzji do współczesności. A przecież opinie poetów — zwłaszcza w okresie romantyzmu — zawsze odznaczały się pewną, żeby tak powiedzieć, dwuznacznością. I jeśli pamiętamy patetyczne zdania o „rosyjskiej trójce" z „Martwych dusz", to trzeba też i nie zapominać, ze obraz Rosji w „Rewizorze" i w „Martwych duszach" mocno oburzał licznych rosyjskich „patriotów", którzy nawet dawali wyraz nadziei że autor takich „paszkwili" znajdzie się na Sybirze. Przecież i w listach Gogola niemało uogólnień na temat Rosji w zupełności zgodnych z tamtym obrazem Rosji sprzed reformy. O Petersburgu wspomina: „Departament, śniegi, podlecy", i potrafi napisać: „Nie ma miejsca w Rosji na szlachetnych ludzi, same tylko świnie tam żyją (Nie żitje w Rossiji ljudjam priekrasnym, odni tolko swinji tam żiwuszczi" — ostatnie słowo, to typowy dla Gogola błąd języka; czy powinno by być „żiwuszczi" czy „żiwuszczije", t.j. „żyją", trudno powiedzieć, ale obie wersje mają to samo znaczenie, najsurowszego osądu Rosji, jaki kiedykolwiek wyszedł spod pióra rosyjskiego pisarza!).

Dmytrij Czyżewskij.

W OCZACH ZACHODU

MARXIZM — TO NIE LEWICA

Ignazio Silone, współtwórca (z Togliattim) włoskiej partii komunistycznej w r. 1921, którą opuścił w r. 1930, pisarz o rozgłosie światowym którego pierwszą powieść („Fontamara") przełożono na 22 języki, odpowiedział na szereg pytań z dziedziny polityczno-ideologicznej, zadanych mu przez „Express" z 26 lipca b.r. Z obszernego wywiadu wybieramy to co Silone mówi o marxizmie i o współczesnym pojęciu lewicy.

Marxizm, to dziś nic innego tylko kapitalizm państwowy, a ucisk ze strony jego warstwy kierowniczej cięższy jest niż ucisk burżuazyjny. Nowy ten ucisk uprawiany jest pod fikcją że fabryki we władaniu państwa należą do wszystkich ludzi pracy; oto ścisły odpowiednik dawnej „fikcji", krytykowanej przez marxistów, o równości wobec prawa obywateli w państwie burżuazyjnym. Marxizm stał się ideologią wsteczną, jemu to przypadło z kolei być „opium dla ludu" — i z kolei trzeba dziś bić w Bastylie marxizmu. Dowiodły tego wydarzenia w Polsce i na Węgrzech.

„Nigdzie — mówi dalej Silone — samokrytyka marxistowska nie przybrała tak daleko idących i tak odważnych objawów co w Polsce. Marxizm polski, od Róży Luxemburg, zawsze był w awangardzie międzynarodowego ruchu robotniczego. Jest tym samym i dziś, mimo okrutnej i niszczycielskiej rozprawy podjętej przeciw niemu przez Stalina przed wojną. Oby trudności polityczne rządu Gomułki nie położyły kresu dyskusji uprawianej przez najbardziej do tego powołanych marxistów polskich! Byłaby to ciężka strata dla przyszłości ruchu lewicowego i w innych krajach". Wymieniając Leszka Kołakowskiego i innych, Silone dodaje że dzieło które podjęli zasługuje na powszechną uwagę. Dobiera się ono do marxizmu od strony naukowej, zdzierając z wytartych haseł maskę „postępowości".

W końcu ub.w. marxizm docierał do Rosji jako „kontrabanda" z Zachodu; dziś jesteśmy świadkami podobnego zjawiska, ale tym razem działającego przeciw marxizmowi. Wobec głodu prawdy bezsilne są zakazy cenzury. Co zresztą wart jest marxizm, który na swą obronę ma już tylko policję?

Silone uważa że dzisiejsze określenia „lewica" i „prawica", niewiele mówią, a nieraz zniekształcają rzeczywistość. Mimo to wierzy że zawsze istnieć będzie lewica — czyli uosobienie ducha walki i szlachetnego niekonformizmu. „Nie jestem pewien czy zawsze będą biedni, ale obawiam się że zawsze będą uciskani i prześladowani. I zawsze znajdą się ludzie którzy się z tym nie pogodzą".

KAMELEON

Zmarły w lipcu b.r. Curzio Malaparte jako Kurt Suckert urodził się w Toskanii w 1898; ojciec jego był Niemcem, matka — Włoszką. Znany ze swych paradoksów, twierdził że musiał przybrać sobie nazwisko Malaparte, skoro Bonaparte było już zajęte. Mussoliniemu wyjaśnił to inaczej: „Napoleon nazywał się Bonaparte i źle skończył; ja nazywam się Malaparte i skończę dobrze". Był po kolei dyplomatą, dziennikarzem, próbował sił jako pisarz dramatyczny (z nieszczególnym skutkiem), zasłynął jako autor błyskotliwych książek typu reportażowego. We Francji, gdzie zdobył największy rozgłos i miał najwięcej przyjaciół, uchodził za spadkobiercę partyzanckich tradycji Garibaldiego i jego ducha bojowego, za wiecznego rebelianta, chociaż raczej można go uważać za cynika i oportunistę. Niewątpliwie, był postacią barwną i zaskakującą, o geście kondotiera, pozie d'Annunzia i wzięciu salonowego światowca.

Według „Nouvelles Littéraires" z 25 lipca b.r., Malaparte był jednym z najwybitniejszych pisarzy współczesnych i dał patetyczną wizję naszej epoki. Mimo odmiennych pozorów, przerzucał się z jednego obozu do drugiego z głębokim przekonaniem, a nie w celach karierowiczowskich. Powszechnie jednak zarzucano mu oportunizm i twierdzono nawet że przygotował dwie wersje swej książki „Kaputt", jedną na wypadek zwycięstwa Niemiec, a drugą — na wypadek ich klęski. Malaparte pysznił się tym że ze wszystkich pisarzy włoskich on jeden jawnie potępił uderzenie Mussoliniego na Francję.

Dodać można że jeśli nawet szczerze zmieniał swe przekonania, nigdy na tej zmianie nie tracił i umiał zawsze w odpowiedniej chwili znaleźć się po „dobrej" stronie. Mussoliniego opuścił dopiero po jego upadku w r. 1943 i wtedy zaciągnął się do włoskiego ruchu oporu. Flirt swoj z komunizmem zaczął w chwili jego światowych przewag. Praktykującym katolikiem został na krótko śmiercią.

Daniel Halévy, który poświęcił mu pean pośmiertny w „Arts" z 30 lipca b.r., sławiąc zarówno człowieka jak artystę, pisze że po ukazaniu się „Kaputt" zarzucano Malapartemu iż podczas pobytu w Polsce pozwolił ugaszczać się hitlerowskim katom w sposób w jaki opisał to w książce. Halévy twierdzi że jeśli o to chodzi, bronili zawsze pisarza Polacy z Rzymu; przed jego wyjazdem doręczyli mu szereg listów do swych rodzin i wdzięczni byli potem za usługi które oddał.

Na krótko przed śmiercią Malaparte odpowiedział na 25 zadanych mu pytań. Ulubieni jego poeci: Homer, Villon, Apollinaire, Leopardi. Powieściopisarze: Stendhal, Dostojewskij, Tołstoj. Kompozytorzy: Bach, Vivaldi, Haendel, Debussy. Na pytanie co mu wystarczy do szczęścia, odpowiedział: „Praca, kobieta, pies, wolność". Na pytanie czego najbardziej nienawidzi, odpowiedział: „Zdrady, podłości".

PISARZ KLASYCZNY

W listopadzie b.r. przypada stulecie urodzin Conrada. To znaczy — pisze Raymond Mortimer („Sunday Times" z 28 lipca b.r.) — że trzeba poczekać jeszcze ze dwadzieście lat, nim ustali się miejsce należne mu w literaturze angielskiej. Z reguły bowiem pisarze którzy urzekali swoją nowością i odrębnością, po pewnym czasie uchodzą za przestarzałych i dopiero potem dzieło ich nabiera patyny, zyskując sobie ponowny rozgłos. Conrad, jak George Moore, Housman, Kipling i Wells, czeka na ponowne odkrycie.

Mortimer, wróciwszy z odbytej przed rokiem podróży do Azji południowo-wschodniej, ze względu na poznane tło powieści Conrada odczytywał je z tym większym zajęciem. Odnajdował w nich Syjam, Singapore, Bali i przede wszystkim Borneo, uderzyło go jednak że Conrad, przy całej swej spostrzegawczości i pamięci, mało korzystał z tych swoich darów. Z zasady odmawiał sobie precyzyjnych i „barwnych" opisów. Z większym upodobaniem niż o szczegółach swoistych krajobrazu, pisał o błękicie nieba, o mrokach, o gwiazdach, o światłach odbijających się w wodzie, czasem dodając może kilka drzew palmowych do swego tła.

Przy zdumiewającym opanowaniu wszystkich tajników języka angielskiego, czytając mistrzowską prozę Conrada, czuło się że nie jest to jego język rodzimy (podobnie, jak czytając Santayanę). Miał obce Anglikom zamiłowanie do abstrakcyjnych i długich wyrazów, przejętych z łaciny. Wtedy gdy pragnął być wzniosły, styl jego stawał się chłodny i mętny.

Nie znosił by traktowano go jako pisarza egzotycznych przygód. Pisał o statkach i dalekich wyspach, bo były tym co znał najlepiej. Napięcie i niezwykłość przygód miały dla niego o tyle znaczenie (i nie więcej) o ile mogły posłużyć do ukazania tego co uważał za najważniejsze, co nadawało sens i wagę życiu; były to: poczucie honoru i płomienna miłość.

Zdaniem Mortimera, wpływ Henry Jamesa, którego Conrad podziwiał, był dla niego szkodliwy. Techniką Jamesa przejął się i naśladował ją w „Szczęściu" — wypadło to niefortunnie. Dowodem że najlepiej odpowiadała Conradowi technika bardziej tradycyjna jest „Nostromo" — najlepsza jego powieść — i „Ocalenie".

Obcy był Conradowi — jak twierdzi Mortimer — zmysł komizmu. Objawiał się on u niego tylko pod jedną postacią: wspaniałej ironii. Jego postaci, podobnie jak ich twórca, nie odznaczają się poczuciem humoru — brak im tego cennego daru.

Conrad uchodził zawsze, za romantyka, tak go zwykło się określać. Wiele nauczył się on od Balzaca, ale Mortimer uważa że znacznie więcej wspólnego miał z Corneillem. Był to typowy okaz pisarza klasycznego o surowej dyscyplinie, poświęcającego wszystko inne na rzecz wzniosłości.

KIM BYŁ AGA-CHAN?

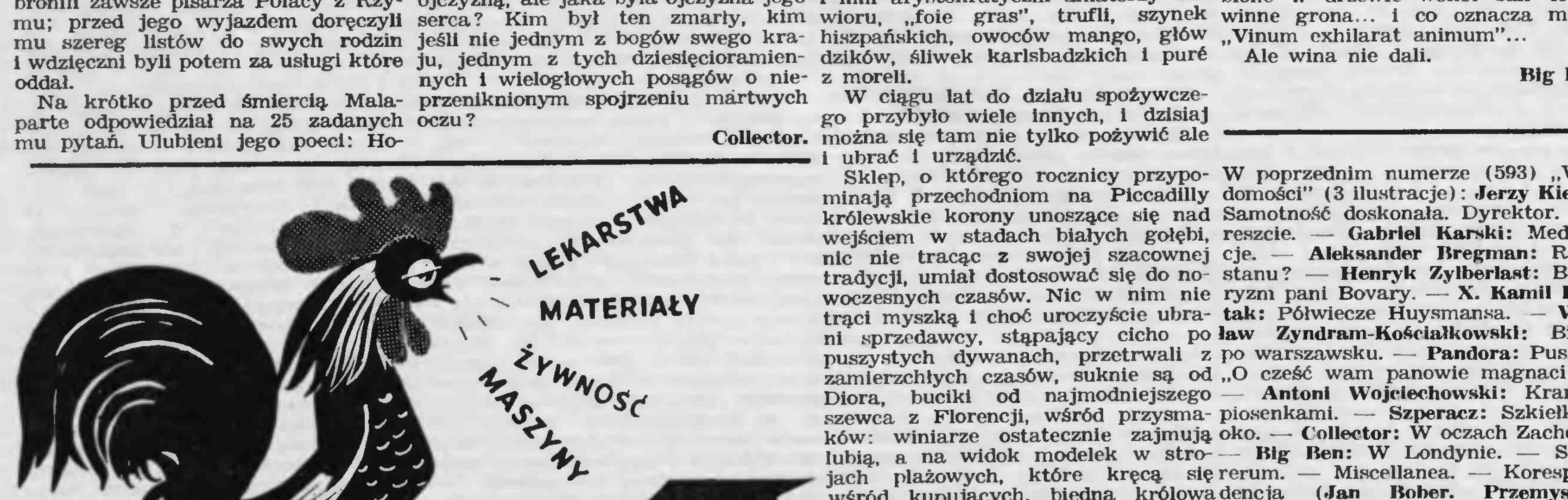
Wnuk Agi-chana i wyznaczony przez niego następca nie znany był dotąd szerszemu ogółowi. W odróżnieniu od innych członków swej rodziny, nie obchodziły go konie, kobietom mało poświęcał uwagi. Wiadomo że studiuje w Harvard University, że nie znosi nocnych lokali, „rok 'n' roll"a i próżniactwa. Dlatego pewnie mało kto dotąd nim się zajmował.

Opatrznościowe zapomnienie — pisze Jean Farran („Match" z 27 lipca b.r.) — pozwoliło obdarzyć go wszystkimi cnotami których pozbawieni byli jego ojciec, dziadek, pradziadek i nawet sam przodek Mahomet. Powstała legenda że Karim odkupi winy swego rodu, którego przedstawiciele bardziej byliby na miejscu w minionej epoce („La Belle Epoque"), niż w naszych czasach wytężonej pracy, purytanizmu i zaciskania pasa. Karim jest nie tylko pracowity ale oszczędny do przesady. Kupując niedawno pięć powieści (m.in. Mauriaca), upomniał się o 5% zniżki, przysługującej studentom.

Stary Aga pozbawił następstwa innych za znane ich wyskoki i wybrał najpoważniejszego, najpobożniejszego i najmłodszego z potomków rodu. Wybór ten zrobił duże wrażenie. Wszyscy pytają kim jest Karim, nieznany następca Mahometa, ale zarazem rosną wątpliwości i padają pytania kim był na prawdę Aga-chan. Dla muzułmanów był uświęconym spadkobiercą proroka, dla Amerykanów — teściem Rity, dla Francuzów — postacią „modną" od pół wieku, dla Anglików — pięciokrotnym zdobywcą Derby.

Czuł się jak u siebie we wszystkich stolicach i wśród możnych z całego świata, wielkie salony były mu ojczyzną, ale jaka była ojczyzna jego serca? Kim był ten zmarły, kim jeśli nie jednym z bogów swego kraju, jednym z tych dziesięcioramiennych i wielogłowych posągów o nieprzeniknionym spojrzeniu martwych oczu?

Collector.



W LONDYNIE

"F. & M."

„Gdybym miał konia, który by brał udział w Derby, nazwałbym go Fortnum i Mason, w przekonaniu że z tym nazwiskiem wziąłby pierwsze miejsce. Opinia publiczna na pewno by mu je jakoś zapewniła".

Do tak entuzjastycznego wniosku doszedł Dickens, oglądając w Epsom w dniu Derby niezliczone pojazdy, pełne wystrojonych dam i koszów z prowiantem ze sklepu, którego sam był stałym klientem. „Gdzie spojrzę... widzę „Fortnum i Mason". A teraz — nieba! Wszystkie koszyki otwierają się szeroko i zielone zbocza nagle rozkwitają („burst into a blossom") sałatką z homara!".

Nawet w Anglii, gdzie setne urodziny raz po raz zdarzają się ludziom i instytucjom, rocznica Fortnuma wzbudza szacunek, bo nie łatwo zachować młodzieńczy wigor, przeżywszy 250 lat pod dwunastoma monarchami.

Historia „f. & m.", to historia Anglii od królowej do królowej, od Anny do Elżbiety, oglądana od strony zastawionego stołu.

Pierwszy Fortnum umiał chodzić koło swoich interesów i będąc na służbie królowej Anny, zaczął prowadzić handel, zapewniwszy sobie dostawy dla dworu. Zaczął od świec, a wkrótce dobrawszy do pomocy p. Masona, otworzył sklep spożywczy, dwa kroki od dzisiejszego budynku. Jeszcze dwa pokolenia Fortnumów były na służbie dworskiej, i interes, wsparty królewską protekcją, rozwijał się wspaniale, wyprzedzając czasy i konkurentów w wymyślaniu i dostarczaniu frykasów. Osadziwszy jedną gałąź rodziny w Kompanii Wschodnioindyjskiej, miał londyński Fortnum najprzedniejsze herbaty i cenne korzenie; i już w r. 1788 był prekursorem Lyonsa, wprowadziwszy do handlu nowość, gotowe potrawy: pieczony drób, mięsa w galarecie, pasztety, ciasta, wszystko udekorowane i gotowe do podania do stołu. Bez „f. & m." nie mogli już sobie wyobrazić życia nie tylko książęta i lordowie, których nazwiska powtarzają się w księgach firmy, ale i zgłodniali oficerowie Wellingtona, piszący z Hiszpanii rozpaczliwe listy: „Świec tu nie można nastarczyć a nie przysłaliście żadnych", „Proszę o szynki, ozory, masło i ser", „Z szynek dotąd ani śladu, co stwierdzam z żalem, bo tu wydatki na utrzymanie są rujnujące".

Wojny zmieniały się ale nie „f. & m." i paki z prowiantem, opatrzone znakiem firmowym jechały znowu na Krym, wioząc, między innymi, podarunek od królowej Wiktorii dla Florence Nightingale — 251 funtów skoncentrowanego bulionu dla rannych. Wszędzie gdzie kolonialna potrzeba rzuciła armię JKMości, do Chin, do Afganistanu, do Afryki, szły „paczki żywnościowe" w wyłożonych metalem pudłach, Gdy zdobyto stolicę Aszantów, Kumasi, do miasta wkroczył orszak tubylców, niosąc na głowie paki ze sławnym znakiem, „Nie znaczcie tak wyraźnie waszych przesyłek, — błagali oficerowie, — bo to prowadzi do znikania w drodze najlepszych towarów".

Rok 1886 był początkiem nowej ery dla nas wszystkich, bo w tym roku zajechał powozem przed Fortnuma młody Amerykanin, przywożąc ze sobą pięć paczek próbnych konserw, dostosowanych do smaku angielskiego. Fortnum zamówił wszystkie rodzaje i tak się rozpoczęło panowanie nad światem wytworów Heinza.

Panowie F. i M. umieli znaleźć się w każdym ważniejszym miejscu historii — gdy sufrażystki z Miss Pankhurst na czele rozbiły im okno wystawowe, odpłacili się kurtuazyjnie, posyłając uwięzionym damom smakołyki do kryminału.

Być klientem Fortnuma mówiło o przynależności społecznej człowieka, a znaczek „f. & m." na zakupach spełniał rolę indygenatu szlacheckiego. Sklep miał specjalny dział zajmujący się wyłącznymi klubami, bez niego nie obeszła się żadna narodowa okazja, począwszy od koronacji i wielkiej wystawy a skończywszy na corocznych wyścigach w Ascot, regatach w Henley i Cowes i meczach cricketowych. Zakupy robiła królowa Wiktoria, skromne bo skromne („dwa słoiki marmolady 1/8, 4 butelki oliwy po 2/6"), ale zawsze, książę Walii i inni arystokratyczni amatorzy kawioru, „foie gras", trufli, szynek hiszpańskich, owoców mango, głów dzików, śliwek karlsbadzkich i puré z moreli.

W ciągu lat do działu spożywczego przybyło wiele innych, i dzisiaj można się tam nie tylko pożywić ale i ubrać i urządzić.

Sklep, o którego rocznicy przypominają przechodniom na Piccadilly królewskie korony unoszące się nad wejściem w stadach białych gołębi, nic nie tracąc z swojej szacownej tradycji, umiał dostosować się do nowoczesnych czasów. Nic w nim nie trąci myszką i choć uroczyście ubrani sprzedawcy, stąpający cicho po puszystych dywanach, przetrwali z zamierzchłych czasów, suknie są od Diora, buciki od najmodniejszego szewca z Florencji, wśród przysmaków: winiarze ostatecznie zajmują lubią, a na widok modelek w strojach plażowych, które kręcą się wśród kupujących, biedna królowa Wiktoria na pewno przewróciłaby się w grobie.

U CECHU WINIARZY

Od czasu do czasu londyńskie cechy otwierają dla publiczności swe czcigodne i nieraz sławne budynki. Wizyta u cechu winiarzy wydała się najbardziej pociągająca, może przez podświadomą nadzieję że gdzie jak gdzie ale tam jakaś beczka wina dla gości się znajdzie. Można by przecież iść gdzie indziej — do bławatników, do kupców kolonialnych czy złotników: winiarze ostatecznie zajmują dopiero jedenaste miejsce w pierwszej sławnej dwunastce cechowej, to samo, na którym znajdowali się za Plantagenetów.

Vintners' Hall znajduje się wśród uliczek City, idzie się tam między szyldami futrzarzy, co chwila drżąc o własne życie, gdy nad głową chwieje się w powietrzu olbrzymia skrzynia lub zwój dywanów, zjeżdżający na grubym łańcuchu z najwyższego piętra, wprost na platformę czekającego samochodu.

Siedziba winiarzy wygląda z zewnątrz wiktoriańsko, zażywnie, solidnie i szaro. Wewnątrz, wiktoriańskość jest trochę zretuszowana, ale trwa nadal w dosycie, w bogactwie dywanów, drzewa, wykładającego ściany, w ornamentach. Było ich więcej, a także ogromne okna głównych sal, dziś stylowo podzielone według dawnego wzoru i zwyczajnie oszklone, były w XIX w. wypełnione najokropniejszymi witrażami.

O tym wszystkim opowiada gościom jeden z członków cechu winiarzy, przygotowany do roli przewodnika. Początkiem przemówienia obudził w słuchaczach najgorsze przeczucia: „Jeśliby kto z państwa znudził się tym co mówię, proszę się nie krępować tylko wyjść..."; i znowu po chwili: „Ja zupełnie serio to powiedziałem — jeśli ktoś się śpieszy lub znudzi, proszę zupełnie na mnie nie zważać i wyjść w środku tego co mówię"...

Jakże znał siebie! Zawsze było w środku tego co mówił, bo nigdy nie przestał. Przytłumionym strumyczkiem toczyły się słowa, cała długa historia Londynu, wielki pożar, wielka plaga, wszyscy kolejni mistrzowie cechu od XIII w. treść wszystkich obrazów, wiszących na ścianach w pełnym świetle, ciur, ciur, ciur... Do słuchaczy, budzących się od czasu do czasu ze snu, dochodziły oderwane wiadomości: z pierwszego, średniowiecznego budynku zostało trochę cegieł, głęboko schowanych w murach, reszta była odbudowana, najpierw po wielkim pożarze, a po raz drugi po ostatniej wojnie, której bomby szczęśliwie zniszczyły wiktoriańskie przeróbki... do zadań cechu należy troska o członków i ich rodziny, zwłaszcza o zabezpieczenie im starości... Co rok jeden młody „winiarz" dostaje stypendium, za które podróżuje przez pół roku po krajach uprawiających wino... Przywilej łabędzi...

Łabędzie obudziły większość słuchaczy. Z 1200 ptaków na Tamizie, do królowej należy 900, a reszta, po połowie, na mocy dawnego przywileju, do cechu farbiarzy i winiarzy. Raz do roku, gdy nowe, wiosenne pokolenie już podrosło, odbywa się na rzece znaczenie łabędzi, żeby było wiadomo co komu przybyło. Łabędzie królowej są nie znaczone, łabędzie farbiarzy mają wycięty na dziobie jeden karb, a winiarzy — dwa. Pewnego lipcowego dnia, na Tamizę wyjeżdżają uroczyście łodzie z dygnitarzami, i zaczyna się „Swan Upping", który trwa, już mniej uroczyście, ale za to bardzo pracowicie, kilka dni. Rodziny łabędzie pływają razem i żeby się zorientować w przynależności, łapie się do łodzi rodziców i sprawdza czyją są własnością. Niestety, łabędzie nie pilnują porządku i robią mezalianse: łabędź królowej z łabędziem farbiarzy i t.d. W tak niedobranym małżeństwie rozdziela się dzieci po połowie, ale jeśli jest ich nieparzysta ilość, naddatek przypada ojcu.

Skończywszy z łabędziami, gospodarz cechu znowu zaczął kołysać gości do snu. Lekko potrząsnęło nimi ruszenie się z krzeseł i przejście do drugiej sali. Tam już spali stojąco, pod dystyngowane szemranie przewodnika, który niestrudzenie tłumaczył dlaczego na tarczy herbowej cechu są trzy beczki, i że patron cechu to św. Marcin, który właśnie na tym obrazie... i że te winne grona rzeźbione w drzewie wokół sali to są winne grona... i co oznacza motto „Vinum exhilarat animum"...

Ale wina nie dali.

Big Ben.

W poprzednim numerze (593) „Wiadomości" (3 ilustracje): **Jerzy Kierst:** Samotność doskonała. Dyrektor. Nareszcie. — **Gabriel Karski:** Medytacje. — **Aleksander Bregman:** Racja stanu? — **Henryk Zylberlast:** Bovaryzm pani Bovary. — **X. Kamil Kantak:** Półwiecze Huysmansa. — **Wacław Zyndram-Kościałkowski:** Bigos po warszawsku. — **Pandora:** Puszka. „O cześć wam panowie magnaci!"... — **Antoni Wojciechowski:** Kram i piosenkami. — **Szperacz:** Szkiełko i oko. — **Collector:** W oczach Zachodu. — **Big Ben:** W Londynie. — Silva rerum. — Miscellanea. — Korespondencja (**Jan Bober. Przemysław Chrościechowski. Alojzy Bak**). — Książki nadesłane.

SILVA RERUM

PASKIEWICZ HERBU RADWAN

Mimo całego zachwytu dla „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza, trudno oprzeć się uczuciu zażenowania kiedy kapitan Glen po odnalezieniu dzieci w rozmowie z doktorem Clary porównywa Stasia Tarkowskiego ze Stanleyem: „Stanley, nawet Stanley nie wyżyłby w tych warunkach przez trzy dni". To pomieszanie fikcji powieściowej z prawdą historyczną, ustawienie na równym poziomie postaci autentycznej i tworu wyobraźni w celu schlebienia dumie narodowej, nie jest „fair". Do tej samej kategorii poślizgnięcia się patriotycznego należy zaliczyć skierowane do Stasia słowa Szwajcara Lindego: „Jeśli w waszym kraju jest dużo podobnych do ciebie chłopców, to nieprędko dadzą sobie z wami radę", bo choć — jak wykazało kilkadziesiąt lat późniejszej historii — Linde mówił prawdę „nie skłamaną w niczym", ale tak mógł napisać autor każdej narodowości z wyjątkiem polskiej.

Podobnie nieco fałszywy podźwięk mają zwierzenia generała Polenowa-Czernowratskiego w rozmowie z Piotrem Rozłuckim w „Urodzie życia": „Ja sam głęboko ich [Polaków] lubię. Świetny i piękny naród. Wszystko u nich swoje i nadobne, miękkie jakoś, subtelne"...

Ale przyznać trzeba Żeromskiemu że doskonale wyczuł pewne cechy Rosji oficjalnej, rządzącej w Królestwie Kongresowym, cechy różniące je dodatnio od Rosji nieoficjalnej, szczególnie Rosji literackiej, bluzgającej nienawiścią do narodu polskiego. I świadczące że nie zawsze Moskwa posyłała do Polski „samych łajdaków stek".

Bardzo znamienne pod tym względem jest to co podaje w swoich rzetelnie interesujących, przynoszących mnóstwo materiału, świeżo w Kraju wydanych wspomnieniach „Świat aktorski moich czasów" Adam Grzymała-Siedlecki o Rosjanach którzy stali na czele warszawskich teatrów rządowych (Grzymała był przed pierwszą wojną kierownikiem literackim Teatru Rozmaitości).

Gdy Grzymała targował się z cenzorem Kuzniecowem o różne ustępy w „Szlakiem legionów" Morstina ten w pewnej chwili odpowiedział: „Pasłuszajtie, jeżeli idzie o mój prywatny do tej sztuki stosunek, to niechby sobie w niej bez przerwy jedna osoba mówiła: „Boże coś Polskę" a druga jej odpowiadała: „Jeszcze Polska nie zginęła", a ja to puszczę jeśli mi pan zagwarantuje że nie dostanę się za to do ciupy".

Kiedy Grzymała w odczycie o Fredrze przez pomyłkę wypowiedział skreślone przez cenzurę zdanie o księciu Józefie i publiczność powitała je burzą oklasków, do oklasków przyłączył się generał-gubernator Skałłon a prezes Małyszew, spotkawszy Grzymałę, rzekł: „Gratuluję panu odwagi cywilnej; z tą swołoczą to może najlepsza metoda".

Kiedy wystawiano „Królewskiego jedynaka" Rydla i Grzymała zwrócił uwagę Małyszewowi że wypada posłać zaproszenie na premierę nestorowi historyków polskich Korzonowi, ten oświadczył że zaprosi Korzona osobiście i kazał sobie wydrukować bilety wizytowe z tekstem francuskim, gdyż uznał że jeżeli nie zastanie Korzona w domu, nie wypada zostawić mu biletu wizytowego wydrukowanego alfabetem rosyjskim.

Ten sam Małyszew odniósł się niechętnie do wystawienia jednej ze sztuk Nowaczyńskiego, uzasadniając swoją odmowę w następujących słowach: „A dlatego że Nowaczyński, to taki autor że u niego co porządny człowiek — to libo [albo] Niemiec libo Moskal libo inna jaka nacja, a co Polak — to swinja".

Wiceprezes Burman tuż przed ewakuacją urzędów rosyjskich z Warszawy w lipcu 1915 wręczył Grzymale kilka tysięcy rubli które zostały mu po pokryciu zobowiązań teatrów, zaznaczając że są one własnością społeczeństwa polskiego i że byłoby niesłuszne gdyby zwrócił je skarbowi państwa.

Ten sam przychylny, chwilami bardzo życzliwy stosunek do społeczeństwa polskiego ujawniają w korespondencji ze swoimi cesarskimi braćmi dwaj wielkorządcy, Konstanty Pawłowicz i Konstanty Mikołajewicz. „Mój brat... już Polakiem", włożone przez Słowackiego w usta Mikołajowi, świadczy o intuicji poety-historiozofa. Pamiętnikarze polscy z pierwszej połowy XIX w. wystawiają Konstantemu na ogół świadectwo, które jeśli nie jest kartą wstępu do nieba, niekoniecznie skazuje go na piekło. Bakcyl polonofilstwa da się wykryć nawet u ks. Paskiewicza-Erywańskiego, jak wskazuje ustęp z cytowanego już w nr. 593 „Wiadomości" Henryka Olechnowicza Steckiego.

W sypialni Paskiewicza — pisze Stecki — „ściany były ozdobione portretami w kontuszach z podgolonymi głowami; kiedym się raz im przypatrywał, podszedł do mnie gospodarz i powiedział: „Ce sont mes ancêtres".

„Rodzina Paskiewiczów, herbu Radwan odmienny, jest starą szlachtą polską; gałąź białoruska, z której namiestnik pochodził, była prawosławna i niezamożna, ojciec miał wioseczkę w mohylowskiej gubernii".

Sam Paskiewicz — twierdzi Stecki — „był to człowiek dobry, Polskę i Polaków lubił i co mógł dobrego to robił. Kiedy wracał w r. 1849 z wojny węgierskiej, cesarz czekał na niego na dworcu kolejowym a uściskawszy, pytał co by mu mógł przyjemnego zrobić. Feldmarszałek o jedną tylko łaskę prosił, żeby go cesarz do śmierci w Polsce zostawił, nic w organizacji kraju nie zmieniając, dowodził oraz faktami i cyframi że ta organizacja jest lepsza aniżeli w Rosji, był już bowiem projekt porobić zmiany, które dziś widzimy. Jednej tylko rzeczy otrzymać nie mógł, t.j. zachowania granicy między królestwem i cesarstwem; cesarz, nie chcąc mu w oczy odmawiać, bo go lubił i szanował, z drogi do Petersburga przysłał ukaz znoszący granicę. Cierpieć musi duch jego jeżeli widzi co się dzisiaj [1895] dzieje!".

Ani żadnemu z Konstantych, ani Paskiewiczowi nie przyszłoby do głowy uszczęśliwić Polaków ulicami czy placami imienia Suworowa, jak to usiłowało uczynić tałatajstwo bolszewickie po zajęciu Lwowa w r. 1939.

NIETZSCHE HERBU RADWAN

Sprawę pochodzenia polskiego Nietzschego (por. list Jana Bobra w nr. 593 „Wiadomości") omówił Bernard Szarlitt w swoich pracach „Nietzsches Polentum" (Lipsk 1906) oraz „Polskość Nietzschego i jego filozofii" (Warszawa 1930).

Szarlitt sceptycznie traktował tradycję rodzinną Nietzschów że pochodzą oni od polskiego hrabiego nazwiskiem Nietzky, który w związku z zaburzeniami religijnymi miał uciec z Polski do Niemiec: w Polsce nie było ani Nietzkych ani Nieckich, które to nazwisko mogło przeobrazić się w Niemczech w nazwisko Nietzky.

Istniała natomiast w Płockiem rodzina Nickich herbu Radwan, i jeden z jej przedstawicieli, Gotard, w r. 1632 wyemigrował do Prus. Ponieważ pierwszy Nietzsche, Krzysztof, prapradziad filozofa, występuje po raz pierwszy w r. 1706, więc nie jest wyłączone że jeżeli pochodził od Gotarda Nickiego, nazwisko Nicki w ciągu lat 74 mogło przybrać formę Nietzsche.

Szarlitt udał się do Weimaru do siostry i biografki Nietzschego Elisabeth Förster-Nietzsche. Zbadanie rękopisów filozofa dało sensacyjne rezultaty: okazało się że nazwisko swego przodka pisał on najwyraźniej Nicki a za pisownię Nietzky ponosi odpowiedzialność jego siostra; ponieważ „Nicki" czytają Niemcy jak „Niki", wprowadziła ona pisownię fonetyczną „Nietzky", by czytali prawidłowo „Nicki".

Nie na tym koniec. Szarlitt przywiózł ze sobą do Weimaru rycinę herbu Radwan. Pani Förster naprzód oświadczyła że herb ten jest jej znany a potem przypomniała sobie że ma po ojcu sygnet, „pamiątkę rodzinną". Po odszukaniu sygnetu okazało się że jest na nim wyryty herb Radwan.

Pozostawmy na stronie uwagi Szarlitta, wywodzącego filozofię Nietzschego z ducha „szlachecko-polskiego indywidualizmu": jeśli się wie że Nietzsche pochodzi z Polaków, zadanie jest ułatwione. Droga to śliska, skoro Hitler w pewnej mierze był uczniem Nietzschego.

Natomiast jedna rzecz istotnie uderza: zdumiewające podobieństwo Piłsudskiego i Nietzschego, jeśli wolno sądzić na podstawie fotografii.

WARSZAWA ROKU 1873: TROCHĘ STATYSTYKI

Rosyjski „Putiewoditiel po Warszawie i jeja okriestnostiam (Przewodnik po Warszawie i jej okolicach)" z r. 1873 wskrzesza wiele realiów stolicy „Priwislinskawo kraja".

Ludność w r. 1871: 269.241. Garnizon wojskowy: 19.434. Lekarzy, akuszerek, dentystów i felczerów: 868. Domów zaopatrywanych w wodę: 170. Studni: 2072.

Piwiarni: 102. Cukierni: 240. Restauracji: 301. Szynków: 840.

Szkół: 159. Księgarń: 56. Świątyń: 47. Drukarni i litografii: 36. Łaźni i kąpieli: 22. Szpitali i lecznic: 13. Bibliotek: 12.

W r. 1871 popełniono w Warszawie 1488 kradzieży, 151 oszustw, 13 samobójstw, 2 morderstwa i 2 dzieciobójstwa.

Domów publicznych: 41. Prostytutek 1039 (w domach schadzek: 223, w domach publicznych: 177, tolerowanych samotnych: 176, podlegających obowiązkowemu badaniu: 463). Chorych na syfilis: 6447. Pokąsanych przez wściekłe psy: 48.

Hotele: Europejski: pokoje od 60 kop. do 7 rb.; Angielski (z kominkiem, przed którym grzał się Napoleon w r. 1812): od 50 kop. do 8 rb. Rzymski: od 45 kop. do 3 rb.; Victoria: od 45 kop. do 4 rb.; Maringe (późniejszy Francuski): od 40 kop. do 4 rb.; Saski: od 30 kop. do 1 rb. 80 kop.

Cukiernie: Lourse (w gmachu hotelu Europejskiego i w Teatrze Wielkim), Semadeni (na rogu Królewskiej i Marszałkowskiej, Świętokrzyskiej i Nowego Świata, al. Jerozolimskich i Nowego Świata), Botte i Clotin (na Krakowskim Przedmieściu, koło poczty).

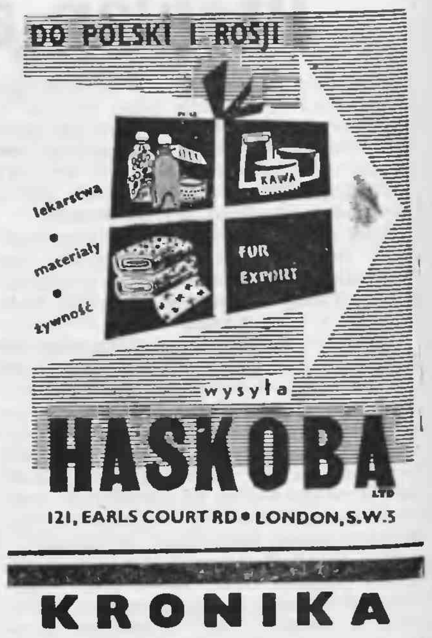
Tramwaje — dwie linie: 1) Klub Obywatelski (na Krakowskim Przedmieściu) — Królewska — Marszałkowska — stacja kolei Wiedeńskiej; 2) stacja kolei Petersburskiej i Terespolskiej — Klub Obywatelski. Miejsc po 20 na dole (za przejazd 5 kop.) i na górze (3 kop.).

Posłańcy: za kurs 7½ kop., z odpowiedzią 12½ kop.; za czekanie na odpowiedź do 10 minut nic się nie dopłaca.

Teatry: Wielki (1149 miejsc od 22½ kop. do 3 rb. 5 kop.); Mały (Rozmaitości) (770 miejsc od 15 kop. do 1 rb. 25 kop.); Letni (1000 miejsc od 15 kop. do 1 rb. 25 kop.); w Łazienkach (1246 miejsc od 20 kop. do 1 rb. 55 kop.).

Teatry ludowe (ogródki): „Tivoli" na Królewskiej, „Alhambra" na Miodowej, „Eldorado" na Długiej, „Alkazar" na Królewskiej, „Pod Lipką" na Przejeździe, „Figaro" na Nowym Świecie.

Dział ogłoszeń otwiera dom towarów galanteryjnych Lessera na Rymarskiej (23 działy, przyjmuje do odnowienia lustra). Z innych wymieńmy sklep honorowego optyka m. Warszawy Jakuba Pika na Miodowej; „kantor wekslu i loteryj" Władysława Bersona na Senatorskiej i Krakowskim Przedmieściu; skład win i delikatesów Simona i Steckiego (dawniej I. L. Flattau), istniejący od r. 1825, na Granicznej i Nowym Świecie; skład płótna J. Grützhändlera w hotelu Polskim na Długiej i na Nowiniarskiej; ujeżdżalnię Golińskiego na Marszałkowskiej („udziela lekcye jazdy konnej dla mężczyzn i dam w każdej porze, a także przyjmuje konie do tressowania"); magazyn towarów galanteryjnych i skład papieru Gustawa Kipmana na Senatorskiej (bilety wizytowe wykonywa w ciągu godziny); magazyn szkła, kryształów, porcelany, fajansów i szyb Ignacego Hordliczki na Senatorskiej; magazyn wyrobów platerowanych Norblina na Krakowskim Przedmieściu; magazyn towarów jedwabnych i łokciowych I. Szyszki na ul. Świętokrzyskiej; magazyn obuwia S. Hiszpańskiego na Długiej (filie w Saratowie i Charkowie); magazyn win i delikatesów Ant. Stempkowskiego na Wierzbowej; skład win i delikatesów A. Bocqueta na rogu Teatralnej i Wierzbowej; skład towarów futrzanych Wincen. Starkmana (od 50 lat w teatrze Wielkim); księgarnię i skład nut Ferdynanda Hoesicka na Senatorskiej; magazyn futrzany M. Cederbauma na pl. Krasińskich; fabrykę K. Rudzkiego.



KRONIKA

LONDYN-SAN MATEO



„San Mateo Times" z 17 lipca b.r. przynosi fotografię S. L. Lewickiego, autora korespondencji o życiu i obyczajach amerykańskich, drukowanych stale w „Wiadomościach"

O ZBIGNIEWIE ZIEMBIŃSKIM

Sabáto Magaldi w dodatku literackim do „O Estado de Sao Paulo" z 28 stycznia b.r. pisze o reżyserze Zbigniewie Ziembińskim: „Ziembiński otworzył drogę swoim kolegom po fachu. Lądując przypadkowo w Brazylii w r. 1941, w końcu przyłączył się do grupy artystów miejscowych, poszukujących nowych rozwiązań dla naszego teatru i służył im swoją głęboką znajomością „métier". Ziembiński zastosował po raz pierwszy u nas współdziałanie montażu, scenografii i efektów świetlnych. Wykształcony na ekspresjonistycznej szkole niemieckiej, w pewnym okresie czasu dezorientował on, być może, trochę naszych aktorów", ale jego ostatnie inscenizacje wskazują że wyzbył się maniery ekspresjonistycznej.

DO POPRAWIENIA

W artykule Haliny Iwanickiej (nr 586) szp. 1, wiersz 5 czytaj: w latach 1797-1800" a nie „1797-1780"; szp. 7 w. 25 od dołu: „kierunek ewolucyjny" a nie „rewolucyjny". Wymieniony przez autorkę Neyman nie był pułkownikiem ale majorem.

Ostatni ustęp w „Sprostowaniu", zamieszczonym w tymże numerze, powinien brzmieć jak następuje:

„Pani Jurjewa kilkakrotnie wspomina o związkach Wittlina z „Odyseją", cytuje wyjątki dwóch wydań przekładu „Odysei". Oto co pisze p. Juriewa o wpływie „Odysei" na Wittlina: „Odyseja" była dla Wittlina tą akademią, w której uczył się on artystycznego kunsztu (chudożestwiennomu mastierstwu), sztuki poety i prozaika".

NA LECZENIE ŻOŁNIERZA A. K. ZAGROŻONEGO ŚLEPOTĄ

W myśl wezwania Koła Byłych Żołnierzy Armii Krajowej i „Wiadomości" (por. „Wiadomości", nr 591) złożyli w dalszym ciągu: H. Barański 10 s., dr M. Czyżewicz z Kenyi 3 funty, J. G. z Zürichu 20 funtów, Oskar Kochański 1 funta, Tymon Terlecki i Tola Korian £1 10s., T. Tomaszewski 1 funta, bezimiennie 10 s. Razem: £31 10s.

Prosimy o przesyłanie ofiar na adres: Koło A.K., 42 Emperors Gate, London, S.W.7, England. (Czeki należy wystawiać na: Polish Home Army Ex-Servicemen Assn.).

Nazwiska ofiarodawców będą drukowane w „Wiadomościach".

NA FUNDUSZ POMOCY DLA RAFAŁA MALCZEWSKIEGO

Jako odzew na piękny artykuł pani Haliny Frankowskiej w nr. 592 „Wiadomości" przesyłam skromny jeden funt jako nikły wyraz podziwu i wdzięczności za pracę artystyczną Rafała Malczewskiego.

Głupstwo że to od „sanatora": „pasażerowie" łodzi ratunkowej pomagają sobie bez różnicy klasy, którą płynęli na okręcie.

Jakże pięknie, trawiony już początkami choroby, oddał Rafał synowski hołd wielkiemu Jackowi Malczewskiemu.

Sławoj Składkowski.

Załączam 3 s. na fundusz pomocy dla Rafała Malczewskiego. Proszę nie ogłaszać mego nazwiska, wstyd mi że tak mało, ale niestety sam już cztery miesiące leżę i nie mogę dać więcej, bo nie zarabiam wcale.

S.K.

Do głębi wstrząśnięty wiadomością o chorobie Rafała Malczewskiego, załączam gwineę na fundusz pomocy. Pani Halinie Frankowskiej moje najwyższe uznanie i podziękowanie za szczegółowy opis przebiegu choroby. Chorego artystę znam tylko z Jego wspaniałych artykułów zamieszczanych na łamach „Wiadomości", i to mi wystarczy, aby darzyć Go głębokim sentymentem.

Stanisław Kostrzewa (Slough).

Poza tym złożyli: J. Bondyra z Luton £1, Tymon Terlecki i Tola Korian £1 10s., Juliusz Sakowski £1 10s.

Published by „Wiadomości", 67 Great Russell Street, London, W.C.1, and printed by Superior Printers (T.U.), 11-13 New Road, London, E.1.